



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

Wewszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ŚMIERĆ I ŻYCIE.

Anioł ofiary i anioł zwycięstwa
Braćmi są sobie;
Krzyż, nie cierpienia jest godłem, lecz męztwa
Na Golgoty grobie.
Gdy Syn Człowieczy na sen śmierci złoży
Głowę skrwawioną,
Ten, co o trzeciej ma go zbudzić zorzy,
Bierze go na łono;
W pieczarze grobów posępnej i głuchej
Trwa nad nim schylony,
Aż tknie go naraz, mówiąc:—Wstają duchy!
Głaz jest odwalony....

M. I.

POGA WĘDKA.

Ostatni tydzień Wielkiego Postu, w swoim charakterze faktycznym, mniej ma w rzeczywistości powagi i żalobnego smętku, aniżeli wszystkie inne po popielcowej srodzie; przygotowania do świąt, ruch, zajęcie marnościąmi tuzinkowemi, rozrywają umysł, niepozwalając mu się skupić w jakiejś głębszej kontemplacji.

Za kilka dni zabrzmieć mają znowu oniemiałe dzwony i pieśń rezurekcyjna ogłosi tryumf wiecznego życia nad śmiercią, zburzenie grobu, symboliczne ciało zmartwychwstanie.

Byłoby nad czem podumać, godziłoby się nawet porozmawiać z własnymi myślami na ten temat, w którym i nauki wiele moralnej i allegoryi niemało dla poważnego badania się mieści; ale jak tu myśleć głębiej w tym młynie i tartaku, który się życiem codziennem nazywa!... jak tu dłużej zastanawiać się nad zagadnieniami bytu i nicości u Chrystusowego grobu, gdy myśl wybiega naprzód o całe dni trzy i o terażniejszost zaledwie potrąca...

Święta!... wszystkim w uszach brzmi ten wyraz, niby jakiś szczególniejszy talizman, rozbudzający nowe nadzieje, nowe siły i nową energią; wszyscy w nim zamykają niejako streszczenie swych marzeń, rozumieją pod nim jakąś sumę uciech i radości, przywiązują doń tyle wagi!

Święta wielkanocne, święta dziwnie symboliczne, krzepią ducha w tej kruchej lepiance ciała kołującego się przez rok cały, przez lata całe niekiedy odbywającego wielki post. Cóż dziwnego, że ów jeden dzień, rozbrzmiewający hymnem nieśmiertelności, dla pewnych ludzi, skłonnych już ku zwątpieniu, ma jakąś odmienną, inną, święteczniejszą cechę? jakimś pogodniejszem światłem oblewa świat dokoła nich i roznieca nową wiarę w sercach, iż z najgłębszych grobów to, co żyło życiem ducha — powstać może jeszcze na głos rezurekcyjnego dzwonu i całun śmierci zmienić w sztandar nowego żywota?

Każdy z nas coś drogiego utracił, coś uronił, z czemś rozstać się musiał, co smutnemu pozostało myśl o nicości ziemskiego dobra; a więc to wielkanocne *Alleluja*, jak hasło innego świata, innego życia, wpływa do naszych dusz pokrzepieniem, pociechą, zachętą i zdaje się mówić, że wszystkie groby, krom grobów ducha — bywają kolebkami nowego życia.

Dlatego-to może do owych Świąt wielkanocnych, do owych godów zmartwychwstania, myśl nasza wybiega tak ochoczo i skwapliwie; wysyła

ją stęsknione serce po pociechę, która brzmi echem starej pieśni: *Resurrexit, sicut dixit, Alleluja!*

Niechże i nas pokrzepi wspaniały ten hymn, co według słów pisma — potężne wieko grobu Chrystusowego, jako liść marny, stracił i zmrok śmierci rozproszył.

* * *

Tegoroczny Wielki Post był nim w całym tego słowa znaczeniu; cicho, głucho, milcząco przeszedł. Warszawa, przyzwyczajona do zabaw i rozrywek, jak zakonnica na rekolekcyjach liczyć musiała paciorki i wyrzec się wszelkich przyjemności. Ani teatru, ani muzyki. Pozostały tylko w całym programacie wielkopostnym odczyty na dochód Osad Rolnych; więc nic dziwnego, iż sala ratuszowa zapełniała się publicznością, którą, oprócz filantropijnych instynktów, sprowadzało tym razem przyzwyczajenie i potrzeba jakiegokolwiek rozrywki wspólnej.

Nie myślimy szeroko rozpisywać się o tegorocznych prelekcjach, które nie odznaczały się, jak dotychczas, zbyt wielką powagą tematów, zwłaszcza w porównaniu z zeszlórocznemi. Pan Kucharzewski, znany inżynier i redaktor „Przeglądu technicznego“ rozpoczął seryą odczytów pracą sumiennie i zajmująco napisaną „o Jerzym Stephensonie“, pierwszym konstruktorze ulepszonej lokomotywy w tej formie, w jakiej ją dzisiaj widzimy. Znakomity założyciel kolei żelaznych stanął — dzięki wymownym słowom prelegenta, jako wzór *self-helpu*, niezłomnego charakteru, wytrwałości i pracy przed oczyma słuchaczy, którzy prostego palacza i górnika z okolic Newcastle w Anglii nauczyli się nie tylko podziwiać, ale i szanować głęboko.

Kraków, jak coroku bywa, przysłał nam także kilku młodszych swych przedstawicieli nauki, obeznanych dobrze z katedrą prelegentką. PP. Kazimierz Morawski, Józef Rostafiński i Stani-

sław Smolka, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, przyrzekli swój udział w tegorocznych odczytach i stawili się na wezwanie; pierwsi dwaj wywiązali się już ze swego zobowiązania, ostatni powrócił do Krakowa i dopiero po świętach ma przybyć powtórnie, aby nam powiedzieć zajmujące rzeczy „o niepoprawnym rodzie“.

Pierwszy debiut prof. Morawskiego, młodego filologa i badacza archeologii i literatury klasycznej, powiódł się bardzo pomyślnie; prelegent mówił „o wymowie u starożytnych“, a w formie swobodnej, niekiedy dowcipnej, od początku zaś do końca zajmującej pogadanki dał nam charakterystykę mówców starożytnych, uwydatniając zarazem zewnętrzne głównie różnice naszej współczesnej wymowy.

Suchy na pozór przedmiot umiał p. M. ożywić, zaprawić humorem, poglądem oryginalnym i trafnymi uwagami estetyka, czem w nagrodę pozyskał sobie szczery i odrazu sympatyczny okłask swoich słuchaczy. Nie tak łatwo przyszło to p. Pawłowi Popielowi, zasłużonemu tłumaczowi „Iliady“, który po kilkunastu latach wstąpił znów na katedrę, aby się przypomnieć dawnym swym uczniom i kollegom, jako były profesor Szkoły Głównej; mówił on, a właściwie powiedziałoby należało, miał mówić, o „związku ducha klasycznego z literaturą nowoczesną“. Pomimo professorskiej erudycji prelegenta i widocznych studiów w tym przedmiocie, praca jego zakrawała raczej na wstęp do wielkiego dzieła, aniżeli na skończoną w sobie całość, która miała nauczyć i zająć szersze grono słuchaczy.

Znany dobrze czytelnikom *Bluszczu* podróżnik nasz, Sygurd Wiśniowski, opisał w barwny, sobie właściwy sposób, Kubę, najbogatszą wyspę wielkich Antyllów; sąd o zaletach tej prelekcji sympatycznego podróżnika powezmą czytelnicy nasi sami po wydrukowaniu jej w łamach naszego tygodnika.

Niespodziankę, nie powiemy przyjemną, sprawił publiczności i krytyce warszawskiej młody, zdolny botanik, Dr Józef Rostafiński swoim odczytem „o najnowszym zwrocie w poezjach Asnyka“. Z tytułu przypuszczać-by można, że tych *zwrotów* było więcej dotychczas, że natchnienie znakomitego poety ma jakąś kameleonową własność; ale, pominiwszy nieścisłość wyrażenia w samym tytule, mogliśmy ją wytknąć niejednokrotnie i w treści odczytu, który z nowego stanowiska miał nam ukazać poezję... w świetle teorii pozytywistycznych i przyrodniczych. Możeby to było oryginalnem przynajmniej i bardziej zajmującym, gdyby prelegent potrafił być wytknąć sobie jakąś stałą linią dla swoich osobistych sądów i poglądów na twory Asnyka w trzecim tomie jego „Poezyi“ zawarte: bez tego musiał lawirować pomiędzy idealizmem i pozytywizmem, stawiając, jak to mówią: „Bogu świeczkę i dyabłu świeczkę“. O samym zwrocie, ciekawym i charakterystycznym ze względów indywidualnych w poezjach E...ly'ego, nie dowiedzieliśmy się wiele; a to, o czem Dr Rostafiński mówił właściwie, nie przekonało nikogo, pomimo ładnej miejscami formy i stylistycznej zręczności.

Wszelkie experymenta mają dla publiczności warszawskiej odrębny, pociągający urok; nic dziwnego tedy, że dwie prelekcje D-ra Huberta hr. Krasińskiego „o pasożytach“ ściągnęły ciekawych widzów i słuchaczy do sali ratuszowej.

Prelegent z pewnym odcieniem humoru felietonowego, w bardzo popularny sposób opisywał rozmaite szkodniki organizmów zwierzęcych i roślinnych, ilustrując, ku ogólnemu zadowoleniu, swą naukową pogawędkę świetlnymi widmami, z wielką dokładnością wykonanemi.

Nie były to bardzo estetyczne okazy, które Dr Krasiński wybrał do swego odczytu; ale przynajmniej należy, że czego nie oszczędził oczom, to starał w dyskretny sposób zaoszczędzić uszom swoich słuchaczy.

Po świętach seryi tegorocznych prelekcji na korzyść Osad Rolnych dopełnią jeszcze: hr. Wojciech Dzieduszycki, wyłożeniem filozofii Sokratesa i Platona, i prof. Stanisław Smolka.

Dochód przypuszczalnie powinien być dosyć znacznym i przysporzyć Osadzie Studzienieckiej pożądanym funduszów, które kiedyś płynąć będą

z innego źródła, dzięki filantropijnemu zapisowi hr. Kickiego. Zapis ten w ostatnich dniach został przez wyższe władze zatwierdzonym, więc Towarzystwo będzie musiało rozpocząć na szerszą skalę swe administracyjne czynności w myśl testamentu szlachetnego zapisodawcy.

Oby tylko dobrej woli, uczciwej pracy i trudom wykonawców los poszczęścił, a kiedyś, chociaż nie rychło — nie tylko Osady Rolne, ale i kraj używać będzie mógł owoców tej milionowej ofiary. Nie wszystkie tego rodzaju zapisy dźwigać muszą swoją fatalność, która im *pro publico bono* nie pozwala się rozwinąć w granicach użyteczności faktycznej, jak n. p. legaty Staszycy, Konarskiego i innych.

Korrespondent nasz z Poznania w ostatnim właśnie numerze wspomniął pokrótce o błogiej działalności tamtejszego „Towarzystwa pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego“, które w dniu 9 Marca r. b. czterdzieste z kolei doroczne zebranie odbyło; pozwalamy sobie uzupełnić kilkoma datami tę zajmującą wzmiankę, która powinna być dla nas wskazówką i zachętą do zakładania i wspierania takich wysoce obywatelskich i dobroczynnych instytucji. Towarzystwo pomocy naukowej przez 40 lat swego istnienia wykształciło 4,000 młodzieży, a zatem przeciętno po 100 młodzieńców rocznie, co w stosunku do ogólnej ludności W. Ks. Poznańskiego stanowi procent bardzo pokaźny; dzisiaj posiada ono przeszło 150 tysięcy marek funduszu żelaznego i może po czterdziestu kilka tysięcy marek co rok wydawać na utrzymanie i zapomogę kształcącej się młodzieży, przekazując nadto pewne, wcale znaczne przewyżki, jak właśnie w roku zeszłym.

Prezesem Dyrekcyi Tow. jest zacny i zasłużony literat, prof. Dr Rymarkiewicz.

Tyle razy wspominaliśmy już sami i powtarzaliśmy innymi o wielkiej i ważnej potrzebie zorganizowania u nas podobnej instytucji pomocy i opieki dla uczeni szkół średnich i studentów Uniwersytetu. Na podstawie źródeł urzędowych wiemy teraz, że Warszawa ogółem liczy *dwieście osiemnaście* zakładów naukowych, do których uczęszcza uczniów 16,290, uczennic 8511, razem *dwadzieścia cztery* tysięcy *osmset jeden* uczących się. Zastanówmy się tylko, jak znaczny procent ubogiej, pozabawionej wszelkich niemal środków utrzymania młodzieży mieści się w tej ogólnej liczbie, świadczącej nader pocieszająco o wroście oświaty w naszym grodzie, chociaż jeszcze nie w takim stopniu, jakbyśmy tego mieli prawo wymagać.

Na miasto zamożne, ludne, ruchliwe, pulsujące życiem inteligencji, sztuki, handlu i przemysłu, wspomniana powyżej liczba uczących się we wszystkich zakładach stanowi zaledwie 8% ogólnej ludności. Niema się poprawdnie czem tak bardzo przechwalać, zwłaszcza wobec naszych niedalekich sąsiadów na Zachodzie, ale Bogu dzięki i tak idzie ku lepszemu, skoro mogło w roku zeszłym powstać 26 nowych zakładów naukowych; przybytek ten wszelako w rzeczywistości jest mniejszy, gdy się od niego odejmie owych 11 szkółek prywatnych, które z rozmaitych przyczyn, najwięcej materyjalnej natury, musiały zamknąć swe drzwi dla maluczkich.

Powróćmy jednak do towarzystw zapomogowych dla uczącej się młodzieży. Był czas niedawno, kiedy nawet w urzędowej formie dano inicjatywę do organizowania przy każdym gimnazjum materyjalnej i moralnej opieki nad młodzieżą. Krepujące więzy schematyzmu, który jedną modłę dla wszystkich tego rodzaju instytucji w całym państwie przepisuje, spowodowały prawdopodobnie tę jakąś obojętną odwołkę i zaniechanie sprawy, w gruncie rzeczy bardzo zbawiennej i pożytecznej.

Ale *est modus in rebus*, niema niepodobieństwa dla chcącego szczerze. Na dowód przytoczymy istniejące w Mińsku Litewskim „Towarzystwo opieki nad uczącymi się“, które potrafiło taki statut ułożyć, że zabezpieczyło sobie możność coraz większego rozwoju i uwolniło się od nieracjonalnych wymagań schematu. Cel tego stowarzyszenia, założonego w r. 1875 jeszcze, tem się różni od innych „po formie“ zorganizowanych, że gdy ostatnie muszą ograniczać swoją opiekę tylko w murach gimnazjalnych, stowarzyszenie miń-

skie może zapewniać swoim protegowanym pomoc pieniężną, nietylko przy przejściu do wyższego zakładu naukowego, ale i podczas pobytu w tym zakładzie. Najszcześliwiej zaś odstąpiono od schematu pod względem organizacyi zarządu, który stanowi komitet, złożony z pięciu członków, wybieranych na walnem zgromadzeniu, obeznanych nietylko z miejscowymi warunkami i potrzebami młodzieży, ale dających rękojmię szafowania sprawiedliwie, prawdziwie po bratersku, groszem publicznym.

Z kolei Kalisz zajmuje się teraz założeniem takiego stowarzyszenia z tą różnicą, że ustawa projektowana dopuszcza i nieletnich do udziału w towarzystwie, co ma swoje moralne wpływy i strony dodatnie, bo rozbudza poczucie koleżeńskiej solidarności i assocjacyi w młodem pokoleniu. Wszystkie mniej więcej tego rodzaju stowarzyszenia, tak zwanej „Bratniej pomocy“ zagranicą oparte są na tej właśnie zasadzie i rozwijają się z ogromnem powodzeniem.

Kiedyż po Mińsku i Kaliszu przyjdzie kolej na Warszawę? — Dzwoniliśmy już na to kazanie jeszcze wtedy, gdy hojna ofiara Dra Perlmuttera mogła być odrazu dać materyjalną podwalinę takiej pożytecznej instytucji.

Może teraz, gdy zaczynamy coraz więcej mówić o dzieciach nieletnich, gdy układamy statuta dla nowych Filantropijnych towarzystw, znajdzie się osobno grono chętnych i energicznych przyjaciół młodzieży, które tą myślą zajmie się pojęcowski i wprowadzi ją na porządek dzienny.

Gdybyśmy wnioskować mieli z zaprowadzenia w Uniwersytecie tutejszym katedry literatury polskiej z polskim językiem wykładowym i o postawieniu kandydatury znanego naszego krytyka i badacza dziejów piśmiennictwa, p. Piotra Chmielowskiego, na posadę profesora tego przedmiotu, możemy wogóle przypuszczać pomyślniejszy zwrot w traktowaniu przez losy spraw naszych instytucyj naukowych i interesów młodego pokolenia.

Nauczyło nas doświadczenie nie chwalić dnia przed zachodem: czekajmy przeto bez złudzeń, ale nie czekajmy z założonemi rękoma i przymkniętymi oczyma; róbmy, pracujmy dla przyszłości, dla tego jutra, które ma być łaskawsze i lepsze od wczoraj.

Pod tym względem za przykład hartu, wytrwałości i pracy narodowej, posłużyć nam może nie liczny słowiański lud Serbów Łużyckich, zwanych przez Niemców Wendami, których dwaj najzaniejsi przedstawiciele: Ks. Hornik i E. Smolar nawiedzili w zeszłym miesiącu nasze miasto. Łużycanie od XI stulecia nie mają politycznego bytu i niezawisłości, razem jest ich coś sto sześćdziesiąt tysięcy wszystkiego, rzuconych na Bożą wolę w morze germanizmu: a przecież nie zmarli, nie uwięźli jak piasek w wodzie, ale zachowali się do tej pory, nawet wzrosli w liczbę, nawet pokrzepili na duchu i oparli się wszystkim przeciwnościom losu. To biedne plemię słowiańskie, oderwane gdzieś przed wiekami od rodzimego ogniska, nagle jak owa gałązka Jakóbowa — kwitnąć zaczęło. Nieznani Serbowie Łużycy, o których jeszcze w zeszłym stuleciu nie u nas w Polsce nie wiedziano, dziś mają swą literaturę, swoją prasę, swoje stowarzyszenia filantropijne, a wszystko to stworzone niepojętą siłą ducha, poczuciem narodowości i wiarą w przyszłość.

Oświata ludu, krzewienie piśmiennictwa, czuwanie nad językiem, są dzisiaj głównymi zadaniami Wendów; robią też co mogą w tym kierunku, ale wszystkiemu sami zaradzić nie potrafią. Przedewszystkiem potrzeba im większej ilości duchownych, nauczycieli, prawników, lekarzy, więcej inteligencji. Brak im ludzi zamożnych, a ztąd i środków pieniężnych na fundacye stypendyalne dla młodzieży, któraby się mogła przy takiej pomocy kształcić w wyższych zakładach naukowych a potem zajmować wybitniejsze w społeczeństwie stanowiska. Najbardziej utyskują oni na brak duchownych serbskiej narodowości, a brak ten ważniejszy, niżby przypuszczać można, bo oddziaływa na najżywoźniejsze ich sprawy.

Posłuchajmy, co o wpływie księży pisze dziejopis łużycki, Polak, W. Bogusławski w swoim *Rysie dziejów serbo-łużyckich* (1861). „Kazania, wierzące wielki wpływ w całym świecie, u Ser-

bów łużyckich miały większe znaczenie, niż gdzie indziej; tu bowiem lud pozbawiony ojczyźnej mowy w sądach i poczęści w szkołach, mógł ją usłyszeć jeszcze w kościele; nauka kościelna była dla niego nauką religijno-narodową. Oile pieśni kościelne przyłożyły się do rozbudzenia uczucia ludu i przygotowania do przyjęcia oświaty, o tyle kazania krzepiły jego siły i uzbrajały stoicką rezygnacją: nie ugiąć się przed cudzoziemską przemocą. Prawdę tę lepiej od wszystkich rozumowań potwierdza fakt, sprawdzony przez dzieje, że *żadna włość serbo-łużycka*, w której się stale odbywały kazania w języku ojczyźnym, *nie zniemczała*; przeciwnie, parafie *pozbawione* nauk kościelnych w języku ojczyźnym, traciły poczucie narodowości, szpeciły język i później zupełnie *zniemczały*. Obsadzić więc parafie serbskie kapłanami, świadomymi ludowego języka, jest pierwszym warunkiem utrzymania się narodowości.

Ręką i sercem gotowy zawsze do pomocy w takich razach, J. I. Kraszewski ofiarował w zeszłym roku pewien fundusz na wykształcenie łużyckiej młodzieży dla przyjęcia później służby publicznej w ojczyźnie; dobry przyjaciel łużycan, p. Alfons Parczewski, adwokat z Kalisza, opiekujący się szczerze sprawą naszych pobratymców, doradził im założenie „Towarzystwa pomocy naukowej“ dla młodych Serbów, pragnących się poświęcić zawodowi duchownemu, prawniczemu, medycznemu, nauczycielskiemu i t. p.

Rozumie się, iż Towarzystwo takie samymi miejscowymi siłami utrzymać-by się nie mogło; musi ono odnieść się do innych braci rodziny słowiańskiej i prosić o tę szlachetną pomoc w ocaleniu narodowości, zagrożonej przez zalew germańszczyzny. Otóż, jakśmy wspomnieli, dwaj najzacniejsi patrioci i oby watele łużycy, ks. Hornik z Budyżyna i p. Smolar, wydawca i redaktor *Nowin Serbskich*, przybyli w tym celu osobiście do Warszawy, aby nas poznać bliżej, zachęcić do wzajemnego poznania i w bratnim uścisku uprosić o pomoc dla swych celów.

Za opłatą „jednej marki“ rocznie można zostać członkiem Towarzystwa Pomocy Naukowej łużyczan; kto zaś złoży znacniejszą sumę, otrzyma dyplom członka honorowego i wpisany zostanie do złotej księgi dobrodziejów.

Listy i posyłki adresować należy: *Pfarrer Hornik in Bautzen (Sachsen)*.

Ciekawszych poznania tych Słowian, których nie zdołało zalać morze niemieckie, przez ośm wieków podmywając grunt pod nimi, odsyłamy do wydanej przed niedawnem rozprawy A. J. Parczewskiego pod tyt.: *Z Dobrych łużyc*.

Co do nas należało, zrobiliśmy, pomieszczając powyższą wzmiankę, która sama za siebie przemawia; co do was teraz należeć będzie — zrobicie z pewnością, wydatkiem jednej marki rocznie, przyczyniając się do najświętszego celu, jaki każdy naród ma przed sobą.

Poświęciliśmy tyle miejsca instytucjom filantropijno-naukowym, że już o ważniejszych wypadkach naszego potocznego życia, zaledwie na samym końcu wspomnieć jeszcze możemy. A przecież niepodobna nie zanotować w tem miejscu niespodzianej wystawy w pałacu Bryłowskiim, która się utworzyła prawie sama z okazji przeznaczonych na odroczone wystawę przemysłowo-rolniczą w Moskwie. Muzeum nasze rozpoczęło rok bieżący mozolną pracą, gdyż ono to zabrało się do urządzenia wystawy dzieł „sztuki stosowanej do przemysłu“, jako też kwiatów i owoców w ciągu miesiąca Czerwca; ono też zajęło się urządzeniem wystawy okazów, zatrzymanych niespodzianie w drodze do Moskwy.

Wogóle miesiąc Czerwiec zapowiada się świetnie dla Warszawy. Oprócz jarmarku wełnianego i wyścigów konnych, ruch niezwykajny powiększyć ma jeszcze w tym samym czasie Wystawa koni, bydła, owiec, trzody chlewnej, psów gospodarskich i drobiu. Dzięki staraniom Dyrekcji Towarzystwa Wyścigów Konnych udzielonem zostało zezwolenie na urządzenie takich wystaw przez sześć lat po sobie idących.

Dla panów gospodarzy, hodowców inwentarza i handlarzy nadarza się wyborna sposobność rozszerzenia swej wiedzy, stosunków, interesów, doświadczenia; dla gospodarstwa krajowego zaś,

a dla Warszawy w szczególności, niejedna korzyść materyjalna powinnyby się wyłonić z tego.

Daj Boże!...

ŻONY LUDZI PRACUJĄCYCH.

(Dokończenie).

W symbolicznem piśmie chińskim wyraz: „małżeństwo“, przedstawiony jest przez parę wołów, zaprzężonych w jarzmo jedno i razem ciągnących pług. Pług ten orze niwę życia, która dla wielu bywa kamienisto twardą i częstokroć trzeba się do gorącego znoju spracować, zanim wyda plon jakikolwiek. Kochająca, uczciwie niesamolubna, rozumnie sprawiedliwa, stawia obok męża na wyłomie trudnego położenia, aby ciężary jego dzielić: ale jeżeli dla żony człowieka pracującego jednym z najważniejszych obowiązków jest zrozumienie ekonomicznego stanu rzeczy, pracowite jej współdziałanie w tym kierunku nie wyczerpuje jeszcze wszystkiego, co za powinność swą uznawać jej trzeba. To nieprzeparte dla ludzi ubogich fatum ekonomiczne, które św. Paweł zwięźle określa wyrażeniem: „Kto nie pracuje, niech nie je“, zmusza często do przyjęcia zajęć mało odpowiednich duchowej naszej naturze, poddaje nas pod władzę ludzi lub rzeczy przykrych dla usposobień i uczuć naszych, pozbawia niezawisłości, drogiej każdej istocie ludzkiej. Im osobistość jest moralnie dostojniejszą, podnioslejszą sercem i umysłem, tem zawisłość taka dla chleba cięższą silniej, gnienie mocniej, bo wyższa delikatność uczucia, szlachetność charakteru naraża na częstsze wśród polspolitego tłumu kolidyze, a wtedy prawowita duma człowieka cierpi, cierpi niekiedy okrutnie i ta-to praktyczna strona pracy zarobkowej zatruwa ją bardzo często goryczą żółci i hyzopu. Pracujący pojmuje wtedy znaczenie owej klątwy, rozlegającej się nad wypędzonym z rajcu: — „Będziesz spożywał chleb twój w pocie czoła!“ — a im społeczeństwo jakieś jest mniej w rozwoju swym szczęśliwe, im strumień jego wewnętrznego życia rozlewa się mniej pełną i potężną falą, ten trudniejsze są warunki pracy zarobkowej dla ludzi wyższej inteligencji i podnioslejszego ducha. Jak często muszą wtedy przystać na stosunki wstrętne im i ciężko bolesne, jak często wyższe ich zdolności i porwy muszą się stłumić w sobie, zakopać w pracy podrzędnej i pospolitej, co też jest cierpieniem — cierpieniem nurtującym ducha głucho, ale boleśnie i niemal nieustannie! A cóż dopiero gdy taki człowiek widzi jeszcze, że miejsca o polach pracy wyższych, z horyzontami szerszemi, zajęte są przez nicości, nizkości liche, gdy w dodatku znajduje się nicościom, nizkościom tym na podwładnego oddany! Okrutną takiego stanu ilustracją przedstawiła Orzeszkowa w powieści swej *Widma*; tu przecież na pociechę nieszczęśliwego człowieka, nieszczęśliwego ojca rodziny, znajduje się żona dobra, kobieta szlachetna, która nietylko uczciwie pracowitą być umie. Pojmuje ona położenie męża i współczuje z nim, troszczy się tkliwie o jego wygodę, o jego zdrowie ciężkimi warunkami zarobkowej pracy zachwiane, jest dla niego czułą, jest o niego staranną, więc daje mu choć kilka chwil życia lepszych: i takim jest zadanie wszystkich żon ludzi pracujących na chleb. Ta praca „na chleb“ nawet wśród okoliczności nie tak wyjątkowo strasznych, wśród okoliczności owiele przychylniejszych, lepszych, nigdy lekką nie jest. Nuży już tem, że zwykle bywa codzienną, że płynie jak woda ciągiem nieustannym i ma w sobie te wszystkie niedogodności, które w pańszczyźnie ugniatającami były: ujmuje człowieka w kleszcze ostrego przymusu, jest niewolnictwem moralnem. Wprawdzie i zajęcia pracowitej matki rodziny zdają się przedstawiać tak samo: ciągle są i nieustanne, wymagają cierpliwego związania się z trudem też nużącym, ale zawsze to co innego. Pracować w domu, u siebie, wśród swoich, jest to przymusu pracowitego leddwo-że połowę dźwigać, bo pracy tej towarzyszy

zawsze pewna swoboda, której wśród obcych i poza domem już się nie odnajdzie. Tu usta człowieka smutnego nie potrzebują się w konwencyonalny uśmiech stroić; czoło chmurą myśli zasunięte, gwałtem rozpogadzać; chory może je, gdy boli, choć na ręce oprzeć, chłodzącą dłoń doń przycisnąć; na pomoc nieusposobieniu, niemocy, znużeniu czy ciała czy duszy, może przyjść zamiana zajęć i już lżej, już brzemień przymusowości nie tak uciska. Jak ono zaciężyć może, trzeba prawie wedle przysłowia: przymierzyć, aby uwierzyć, że przecież intuicyą uczucia między obowiązki kobiety kochającej liczę, bo istnieje ono zawsze i niewątpliwie przy każdej miłości rzeczywistej, przy każdym przywiązaniu silnem, przyjaźni głębszej: więc też należy to według mnie do powinności żony, aby rozumiała i brała w rachunek układ rodzinnego życia stan ducha męża. Nie o to jedynie, nie o to samo tu chodzi, aby umiała nieraz znieść łagodnie, cicho, wyrozumiale cierpkość, szorstkość, posepność złego humoru spracowanego, lub czemś stroskanego, bo to należy już do elementarnych żony obowiązków, i każda najprostsza, choć trochę tylko rozumna, trochę tylko dobra kobieta wiejska wie, że ten, którego chrzci słodkim mianem: „mój“, często gęsto bez złej woli na nią, lub na dziecko krzyknie, ostrzej fuknie, a jej nie należy zaraz processu mu o to wytaczać, nie należy na karbach małżeńskiego rachunku cyfrą odjętą szczęściu oznaczać. Ona jest na to kobietą, to jest z przeznaczenia swego słodką, kochającą, tkliwą istotą, aby to wybaczyć. On się tam gdzieś dla ich wspólnego dobrobytu, dla ich wspólnych zasobów znużył, a choćby to było nawet tylko niesforem wzruszeniem tych sił, tych mocy często opornych, często burzliwych, które w mężkości tkwią, trzeba jej ujemniej być wyrozumiałą, bo jest to może konieczna ujemność tej dzielności, która jej słabszej we wrogich zająciach życia osłonę daje, która za nią większe ciężary życia tego podejmuje. Wie to — powtarzam — każda choć trochę myśląca; w postępowaniu swem uwzględnia każda, nie już dobra, ale tylko nie zła. Wszelka wartość ziemska ma dwie strony: nie dobrze jest też samą tylko piękność rzeczy, samą tylko ich lepszość na korzyść swoją obracać: trzeba przyjąć obie strony medalu tak, jak i nasze przymioty cień swój ze sobą niosą. Więc też, uważając wyrozumiałość żony na wady mężkiego charakteru męża za pierwszą, najniższy stopień w szeregu jej powinności, pragnę upomnąć się u żon ludzi pracujących o jeden ich ważny obowiązek.

Dom pracującego męża powinien mu przedstawiać nie sam tylko wygodny odpoczynek dla fizycznego znużenia, nietylko wyraz miłosnej czułości żony spotykać go powinien u progu. Bierną jest jedynie cnota: jego humor zły, humor posepny cicho znieść i walki za niego nie wydać. Wyższym żony obowiązkiem jest dbałość o to, aby ognisko rodzinne rozszerzało prócz ciepła i blaski jasne: aby tam panowała możliwa wesołość, możliwych przyjemności używanie. Jeden kwiatek w promieniu słonecznym na oknie kwitnący, napęlnia nieraz balsamiczną wonią pokój cały, a Salomon się dziwi, jak pszczoła, twór maleńki, wielką obfitość słodczy zebrze i na miodową patokę przetworzyć może. Tak życie osiąga nieraz wiele uciech i rozkoszy za pomocą środków małych i z pozoru nieznaczących. Uśmiech bywa czasem słodszy od pocałunku; wesołość, to słoneczność życia, wśród której zakwitają najwładziejniejsze jego kwiaty. Ta pracująca żona, która daje najmniej poznać pracującemu mężowi, że i jej praca nieraz zacięży, która mu nie pokazuje rysów znużonego oblicza, która do brzemienia jego trosk i zachodów pozadomowych nie dorzuci ciężaru trosk i zachodów domowych — ta jest żoną najlepszą. Nie dość jest zmęczone członki rozciągnąć i fizyczne wyczerpięcie kawalkiem chleba czy mięsa pokrzepić: i serce, i umysł pokrzepienia potrzebują. Są żony nudne i przez drobiazgowość małe, które przybywającego męża muszą obznajomić ze wszystkimi swymi dolegliwościami, spotkaniami w kuchni lub spiżarni. Są żony nie chcące dać nic darmo i te lubią wykazać, co je kosztuje życie w warunkach ograniczonych środków pędzone. Nie mówię już o tych, co się skarżą, co wymawiają,

bo te są złe, ale o tych, co biadują, o tych, co wedle francuzkiego przysłowia kładą kropki nad każde i swego poświęcenia dla dobrobytu rodziny. Nie-trafne, chcą sobie zasłużyć, chcą sobie miłość skarbić, a nie wiedzą, jaka właśnie głęboka wdzięczność spotkałaby je za przemilczenie: za delikatność, za uszanowanie meżkiej dumy męża ubogiego. Bo ją ma niewątpliwie każdy mąż prawdziwie szlachetnej natury: kochając, pragnąłby ukochaną wszystkimi skarbami świata otoczyć i jak jest jego meżkiej godności obowiązkiem i razem przywilejem, aby zaopatrywał tę, która mu się na życia koleje powierzyła, tak najszcześliwszy będzie z tą, która mu—skoro ubogi—najmniej braków dzielonego z nim ubóstwa okaże i raz też jeszcze powtórzy: taka jest najlepszą nietylko żoną, ale istotą ludzką; ma delikatność uczuć szlachetnych, ma miłości przymioty najtkliwsze; nie chce dopuszczać chmur, rzucających cień na czoło ukochane.

I taka też tylko kocha, w takiej tylko miłości wierze.

Taka również, będąc żoną pracującego męża, może być jedynie o serce jego, o swoje rodzinne szczęście spokojną, bo duchowi, tak, jak ciału należy się odetchnienie i nie może bezkarnie znieść ciśnienia ciągłego. Tam gdzie dostatek sprowadza życiu rozrywki rozmaite, tam też i mąż łatwiej zniesie brak słodkiego w pożyciu rodzinnym rozweselenia, cichych jego uciech i pociech, ale ten, które tu tylko radości życia szukać może, tak potrzebuje je znajdować, jak potrzebny mu jest chleb dla ust głodnych.

Jeżeli tylko żona jest udostojniona wyższem wykształceniem, jeżeli jest obdarzona inteligencją szlachetniejszego gatunku, ciąży na niej obowiązek jeden jeszcze, równy poprzedniemu: myśl tak troskliwa o umysł, jak o fizyczny dobrobyt męża.

Wiele już lat odtąd minęło, kiedy francuzki minister oświecenia publicznego Duruy, urządził przy Sorbonie paryzkiej kursa wyższe dla dziewcząt. W szeregu odczytów, których przeznaczeniem było wpłynąć na opinię, jeden z mówców, zdaje mi się, że Juliusz Simon, dowodził, iż nowożytny podział pracy na specjalności nakazuje kobiecie, jako żonie, takie wykształcenie wyższe, aby mąż wiązał się przez nią ze światem sztuki, poezji i nie został pochłonięty umysłowo przez specjalność swoją. Otóż odnieść to można w całości do każdej żony męża pracującego na chleb w tych różnych zawodach biurowej, przemysłowej pracy, która umysł aż do znużenia, do wyczerpięcia zajmuje, nie dając mu jednak tej czynności żywej, mogącej władze inteligencji rozwijać i rozszerzać. Działa tak ujemnie większość pracy zawodowej nawet w pewnych jej gałęziach naukowych, lub na stosowanej nauce opartych; jednostajność, formułkowość, rutyna, chwyta umysł w kleszcze swoje i zaciska go: kurczy się on i maleje, łatwo w zastój zapada, jeżeli nie będzie tak już wyższym i zarazem silnym, aby zdołał się nad to podnieść i otrząsnąć zwyciężony.—Więc potrzeba mu wtedy pomocy, potrzeba mu obrony, którą kobieta—żona dać jest w możności.

Wiem to z doświadczenia, że tak być może, widziałam na własne oczy małżeństwo takie, w którym mąż, umysł nawet niepospolity i człowiek wyższego w kierunku humanitarnym wykształcenia, już był na pochyłości takiej, po której duchy ku dołowi schodzą, lecz młoda żona przez zamiłowania swe literackie, przez towarzystwo inteligentne, którem go otoczyła, zdjęła z wolna pleśń, już rozpościerała się zaczynającą na tej umysłowości szlachetnej. Nie każda własną siłą ducha oddziaływać jest tu zdolną, ale każda prawie przy pewnym, choćby zupełnie średnim, umyśle oświeceniu zrozumiała może i powinna tę potrzebę męża i swój obowiązek, który jej nakazuje, aby kółko ich towarzyskie, choćby najmniejsze,—kółko znajomych, jakie każdy posiada i posiadać powinien dla zadowolenia przyrodzonych człowiekowi uczuć towarzyskości, było dobierane nie ze względem na jej próżność, jej pragnienie zabawy lekkiej, jej własne chcenia i interessa, ale z myślą o tej wyższej potrzebie męża, której zadowolenie tak powinna brać w rachunek obowiązków swoich jak to, aby po pracy

został w domu obiad gotowy. Duch też pożywienia potrzebuje i człowiek „nie samym chlebem żyje“—o życie męża duchowe dbać jest wyższą, szlachetniejszą, ale niemniej obowiązującą powinnością żony dobrej. Praca zawodowa przez swój trud monotony, przez monotonne na umysł działanie, przez spracowywanie go codzienne ma to do siebie, że usypia żywsze skłonności nasze i do pewnej apatii usposabia, więc też mężowie tak pracujący więcej niż inni usposobieni są do ulegnięcia wpływom żon. Gdy człowiek zmęczony do domu wróci, przy ognisku rodzinnem na odpoczynek zasiędzie, przyjmuje co tam znajdzie: czy rozrywkę jakąś sobie miłą, czy nudę nawet, i żona może wtedy pokierować nim łatwo—Otoż należy, aby zrobiła z tej władzy swojej dobry, dodatni użytek. Towarzystwo kilku inteligentniejszych mężczyzn jest niezbędną potrzebą każdego inteligentnego meżkiego umysłu i obowiązek to żony, aby mąż jej braku w tym kierunku nie cierpiał. Tak przez własne zabiegi uprzejme, jak przez delikatne skłanianie męża do stosunków tego rodzaju działać to może, sprawić, aby z nowych im wspólnych znajomych, lub dawnych towarzyszy młodości męża wytworzyło się wkoło niego takie gronko życzliwe a związane myślą ze światem wyższych pojęć, wyższych interesów ludzkości, współczujące z jej wielkimi sprawami, przez któreby i jej mąż w związku z tem wszystkim trwał, czuł, myślał górnio, miał pragnienia i nadzieje wzniosłe, miał ukochania szlachetne idei szczytnych. Wymiana myśli z ludźmi odpowiedniego nastroju ducha trzyma na poziomie takim i człowiek nawet bardzo wysokiego umysłu, gdy zostaje odosobnionym, osamotnionym, jeżeli nie osuwa się w dół, to dziwacznie, staje się pedantem i zwolna zacofanym, bo nieporuszony stoi w miejscu, na pewnym obranym punkcie myśli i uczuć, gdy tymczasem świat naprzód idzie: nowe drogi toruje, w walkach i ścieraniu się życia nowe nabytki czyni.

Jest wiele żon kochających, ale niemniej egoistycznych i wnoszących też w miłość swoją tyle pierwiastku samolubnego, że lękając się, aby przy pierwszym stopniu wykształcenia czy zdolności umysłowych, nie wydały się mężowi wśród otoczenia takiego nicością, nietylko nie starają się o nie, ale przeciwnie—burzą je. Chcą być dla męża wszystkim, chcą być dla niego pierwszą i zawsze najwyższą osobą, ale źle czynią: przez ten popęd niedobrej zazdrości stają się mimowoli i chęci złemi żonami, a nawet matkami złemi, bo w mężu, z jego wyższej, górnej drogi umysłowego życia wykołajonym, dają dzieciom swoim zniżonego, mniej podniosłego mogącego działać na nie ojca. Zdanie to do pewnego stopnia utarte, że miłość jest z natury swej uczuciem egoistycznym i podziału znosić nie chcąc, ale fałsz to psychologiczny. Jeżeli miłość wszystko może, to prawdziwą, głęboką będąc może się wzniesie nad egoizm, nad ja własne, nad szczęścia swego pragnienie. lecz tu nawet przypadek ten nie istnieje. Tu nie trzeba ofiary, nie trzeba poświęcenia, lecz przeciwnie jest tu zarazem ze strony żony i działanie na korzyść własną, na korzyść miłości swojej, bo wśród inteligentnych męża przyjaciół i ona o tyle się wyrobić i przez rozbudzenie władz intelektualnych rozwinąć może, iż sercu męża zawsze bliska, i umysłowi jego coraz bliższą stawać się będzie. Nie on do niej się zniży, ale ona do niego się podniesie i mąż ów, szczęśliwy, koniecznie uczuć to musi—musi koniecznie być jej wdzięcznym wdzięcznością wielką, że się tak z nim przez wszystkie strony istoty swojej chce złąć i zjednoczyć, a temu szczęście, szczęścia używanie, pod wszelką postacią zapewnić. Ona zaś, ta żona z dobrych najlepsza, z rozumnych najrozumniejsza, bo wszystkim swym obowiązkom podołać zdolna, może potem tak dzieje swego rozwoju duchowego opowiadać, jak ta szlachetnego człowieka towarzyska szlachetna: Gertruda Stauffacherowa, której poeta (Schiller) takie słowa w usta kładzie:

My siostry,

Wełnę przedąc, nocami siadywaliśmy długo,
Gdy się żupany ludu poschodzili do ojca,

Pargaminy czytali, radząc o dobru kraju
W mowach rozsądku pełnych. Niejedno mądre [słowo
Zasłyszalam uważna: o czem myśli rozumny
I czego pragnie dobry, cicho w serce składałam.
Więc mnie, mężu, posłuchaj i waż też, co ci powiem,
Bo widzisz—wiem już dawno, co ci ciężąc, dolega...
Murya Ilnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Hrabia czekał na niego w swoim pokoju, gdzie stół był tak wytwornie przygotowany na dwie osoby, z taką baterią kieliszków i przyborami nieznanymi artyście, iż ten uląkł się w duchu, czy przy nim jeść potrafi.

Hrabia przyjął go bardzo uprzejmie i od progu pytał: jak się z kłamstwem powiodło?

— Dobrze nie wiem, bom uciekłam—rzekł Sitko.

— W żadnym razie—dodał hrabia, sadzając gościa i dzwoniąc, aby obiad podawano—proszę mnie nie zdradzić. Gdyby nawet coś się podejrzało, zdawało pannie Ludmile, o mnie mówić byłoby to co wszystko popsuć. Ja zapewne wkrótce ztąd dalej pojedę.

Hrabia począł potem rozpytywać o szczegóły pobytu Ludmiły w Dreznie; lecz, choć Sitko chciał się bardzo wyświadczać z tego, co wiedział, jakiś srom nie dopuścił mu wspomnieć o historii Apolda, o potwarzy, o wszystkim, co tu przecierpiała. Wogóle tylko mówił o nieprzyjemnościach pobytu za granicą, o trudnym życiu między obcymi.

Z mowy jego domyślić się musiał hrabia, iż Sitko był artystą: zapytał go więc o to, czem się zajmuje, co robi i jak mu się powodzi.

— Jaki-to tam ze mnie artysta!—odparł skromnie Prosper. Wprawdzie czułem powołanie; zachciało mi się lepić z gliny, marzyłem o marmurach i spiżu: ale daleko to do tego jeszcze.

Jakąś łaską Bożą dostałem się do Rietschla; probuję psuć glinę, i co zrobię, to połamię. Mistrz doskonalą, ale uczeń niezdolny.

— Masz pan już jaką robotę skończoną?—spytał hrabia.

— A! żadnej—żywo odparł Sitko.—Co się pomysli, zdaje się że powinno wypaść tak, jak człowiek marzył. Przyjdzie do powolnego wykonania: myśl się gdzieś zgubi, palce słuchać nie chcą; wyjdzie coś innego i nie do rzeczy.

Westchnął Sitko.

— Pocem ja się wziął do tego—dodał—sam nie wiem. Gdybym nawet coś więcej potrafił, niż kamień grobowy z urną wyciosać, u nas niema ani z czego rzeźbić, ani dla kogo. Lecz gdy się nas uczepi taka choroba, pozbyć się jej nie można.

Hrabia napróżno usiłował skłonić Sitkę, aby mu choć małą jaką pokazał makietkę; czerwieniąc się i bełkocząc, artysta kłął się, że nic nie ma.

Nawet obiad i wino, a bardzo uprzejme obejście się hrabiego i miły humor jego, nie potrafiły biedaka rozbudzić i ośmielić. Czuł się jakoś nieswoim, obawiał się z czem wygadać, słów nie umiał dobrać i wymierzyć, i widać było, że obiad ten, mimo starań gospodarza, był dlań prawdziwą męczarnią.

Ku końcowi hrabia wrócił do rozmowy o Ludmile i dopytywał o nią. Sitko tyle tylko powiedział co wprzód: że jej tu wcale dobrze nie było i że zamierzała jechać do Düsseldorfu, a gdyby mogła, to do Paryża.

Wtajemniczony w to, że Ludmiła napróżno oczekiwała pieniędzy od dawnego rządcy jakiegoś

majątku, którego nazwiska nie znał, Sitko powiedział i o tem hrabiemu.

— Namawiaj ją pan, aby do kraju powróciła—rzekł hrabia. Wiem, że ma tam rodzinę, której wprawdzie nie winną być nie chce, ale znalazłaby przyjaciół, opiekę, obronę, gdy tu nie ma wręcz żadnej.

Nie sprzeciwiał się temu Sitko, chociaż smutno mu było pomyśleć, że na wieki z oczów straci tę, do której się przywiązał i którą po swojemu—kochał.

Kochanie to było takie, na jakie się on mógł zdobyć tylko. Znał nadto siebie a cenil się tak mało, że nie ważyłby się myślą zuchwałą, podnieść do tej, którą nazywał aniołem i geniuszem; szczęśliwym go czyniło tylko to, że mógł patrzeć na nią i wielbić.

To, że ona mu ufała, że się nim posługiwała, że mu okazywała życzliwość, starczyło dla Sitki. Słuchać jej, patrzeć, słyszeć jej: było dla niego największym szczęściem. W jego oczach istota to była, jakby na promieniu słonecznym zbiegła z innego świata, a on—takim nędznym robakiem.

Prosper nie znał na świecie nic brzydszego, lichszego, pogardy godniejszego, nad siebie. Tak jak drugich dręczący pycha, jego czyniło biednym poczucie swych ułomności, nad które w sobie nie widział nic więcej.

Hrabia, zapowiedziawszy Sitee, iż wkrótce w dalszą podróż się uda, zaprosił go jednak jeszcze, aby, gdy będzie wolnym, pomógł mu do obejrzenia dzieł sztuki.

Prosper był właśnie bez żadnego zajęcia, ofiarował się więc służyć za przewodnika do kilku pracowni, które hrabia chciał zwiedzić. Zejsz się mieli nazajutrz u wystawy, z której potrzeba było obraz odebrać i pakować dla wysyłki do kraju.

Tegoż dnia, w ciągłym jakimś niepokoju i niedowierzaniu własnemu szczęściu, Ludmiła powzięła zamiar pójść zrana na terras i tam pożegnać się ze swoim, tak cudownie sprzedanym, młynkiem. Udała się tam bardzo wcześnie, aby, oile możności, z nikim się nie spotkać, i po godzinnem błądzeniu po pustej jeszcze sali zabrała się do powrotu, gdy w samych drzwiach, najniespodziewaniej ujrzała przed sobą Sitkę i z nim idącego hr. Zygmunta. Ten, zaledwie ją ujrawszy, chciał się ucieczką ratować, wiedząc, że się cała wyda tajemnica, ale już było zapóźno. Ludmiła go zobaczyła, zbladła jak trup, odgadła wszystko i z przerażeniem a dumą, chwyciła za rękę hrabiego. Usta jej początku przemówić nie mogły, ale spojrzenie było najboleśniej wyrazem.

— A! zawołała—teraz rozumiem wszystko, hrabio—panie Prosper, to się nie godziło! To było wprowadzeniem mnie w błąd, w zarozumiałość i zamaskowaną, upokarzającą jałmużnę.

Panie hrabio—dodała—ja tego kupna nie przyjmuję, nie chcę. Przycisnęła ręką piersi, których oddech stał się ciężkim.

— Pani—przerwał hrabia—w tem wszystkim niema oszukaństwa, niema podstępu, ani nawet chęci służenia jej. Słowem uczciwego człowieka ręczę, że pragnąłem mieć ten obraz, i gdybyś nie pani malowała, zarówno—bym go nabył i tak samo zapłacił.

— Nie—odparła Ludmiła, patrząc nań śmiało. Miałeś pan litość nad sierotą; jest to piękne uczucie, dla tego, który je ma, ale dla tych, co z niego korzystają, upokarzające. Ja, nie litości, lecz pracy chcę być winną moją przyszłość; ja ofiary tej przyjąć nie mogę.

Sitko bełkotał niezrozumiale, tak nieszczęśliwy i zgniciony, jakby do największej zbrodni podał rękę.

— Pan mnie zdradziłeś!—zwróciła się do niego Ludmiła.

— Nie—zawołał Sitko—hrabia poznał obraz na wystawie, bo rysunek jego widział dawniej. Mojej winy w tem niema.

— Mogę to poświadczyć—dodał hr. Zygmunt, i powtarzam, że nabytego obrazu nie zwrócę—jest mój.

Ludmiła się na płacz zebrała.

Hr. Zygmunt starał się przybrać twarz wesołą i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Może pani pragnie dowiedzieć się co o—rodzinnie—rzekł szybko.—Stryja jej miałem przyje-

mność niedawno widzieć w Warszawie: jest zdrów i wielce się o nią niepokoi, a ma też kłopot z synem Julianem, który wyrwa się do życia i świata, niebardzo smakując w nauce.

Ludmiła nie mogła odpowiedzieć ani pytać o nic; zamyśliła się głęboko, a cierpienie malowało się dobitnie w pięknych jej, bladeścią okrytych rysach. Myślała widocznie o czem innym. Hrabia, niechając się jej dać odezwać, zagadywał ciągle z pośpiechem.

— Pan Sitko—ciągnął dalej—mówił mi, że pani chcesz dla dalszych studiów udać się do Paryża lub Düsseldorfu?

— Nie wiem już, co zrobię z sobą—westchnęła Ściborzanka.

Korzystając z zawiązanej rozmowy, Sitko, który się lękał wymówek i przeszkadzać jej nie chciał, wysunął się i poszedł, aby się skryć między obrazami w głębi wystawy.

— Pani hrabio—poczęła, sama z nim pozostawszy, Ludmiła.—Pocziwy Sitko, który był moim jedynym opiekunem w Dreźnie i któremu wiele jestem winna, zna mnie tylko jako biedną pannę Brzeską. O mojej przeszłości nic nie wie. Korzystam więc z jego oddalenia się, aby poprosić o jedną łaskę. W kraju zostawiłam resztki mojego mienia, powierzone najzacniejszemu z ludzi, dawnemu rządcy ojca mojego, Tarkowskiemu. Nie mam wiadomości od niego. Przyjm pan przekaz do Tarkowskiego, aby mu zwrócił pieniądze za obrazy zapłacone i zostaw mi mój młynek i kościółek.

Będzie to dowodem życzliwości jego dla mnie. Nie zabijaj mnie pan tą ofiarą w oczach własnych. Z lepszych czasów pozostała mi duma tylko, której się wyrzec nie mogę.

Widzisz hrabia, że pożyczkę od niego przyjmuję—daru niepodobna.

Podala mu rękę z wyrazem błagającym; hrabia się skłonił.

— Nie jedź pani sama jedna dalej—wtrącił z natarczywą troskliwością—proszę, błagam: powróć do kraju. Nie wątpisz pani o gorącej mej przyjaźni dla siebie; jest to rada serca jej życzliwego.

— Wierzę w nie—odparła, prędko Ludmiła, której twarz oblała się rumieńcem—ale—cóż dalej? Ciężarem krewnym być nie chcę i nie mogę—nie umiem nic oprócz nieudolnego władania pendzlem. Chciałam i chcę poświęcić się sztuce, pomimo, że dla niej najcięższe już poniosła ofiary, jakie kobieta z siebie uczynić może. Nie wymagam od sztuki nic, oprócz tej rozkoszy, jaką ona daje, i bardzo skromnego kawałka chleba. Muszę iść dalej.

— Lecz czemuż błądzić zagranicą, gdy w kraju...

— Życie artystyczne nie jest ani rozbudzone, ni wystarczające, aby zaspokoilo najskromniejsze wymagania ducha—odezwała się Ludmiła.—Powołania moje skazuje mnie na wygnanie—dokończyła smutnie.

Hrabia napróżno usiłował ją nawrócić: pozostała niewzruszoną.

— Dreźnie jest dla mnie niemożliwe z powodów, z których boleśnie-by mi było się tłómaczyć—dodała—pojadę do Paryża. Muszę.

W głosie jej i wyrazie twarzy było tak mocne postanowienie, iż hrabia walczył z niem już się nie ważył; westchnął ciężko.

Wyszli z wystawy i Ludmiła u drzwi jej podała mu rękę na pożegnanie. Podniosła oczy; hrabia Zygmunt stał posepny z taką goryczą na całym obliczu—iż zdawał się światu i Bogu wyrzucić los, który spadł na mężną ale słabą istotę.

— Nieumiem pani wyrazić—odezwał się—jak mnie jej postanowienie czyni nieszczęśliwym.

— Nie wierzysz więc pan w moje siły, w charakter, w potęgę woli?

— Wszystko to szanuję, wierzę, wielbię—odparł hrabia, ale wierzę i w to, że najszlachetniejsze charaktery najczęściej są narażone—bo widzę świat przez własne serce.... Uczyn mi pani łaskę jedną,—dodał nalegająco.—Jeżeli się będziesz znajdować w położeniu, w którym życzliwa ręka stanie się potrzebną—odezwij się do mnie. Będzie to dowodem zaufania.

Tak—szepnęła, spoglądając nań Ludmiła—i doskonałą osnową do potwarzy.

To mówiąc, rękę wyciągnęła, ścisnęła podaną dłoń i odeszła szybkim krokiem.

Z drugiej strony nadchodził Sitko i zastał hrabiego, pogrążonego w smutnym zadumaniu.

— Zgubioną jest, biedna—rzekł po chwili do artysty, nie ma sposobu ratować jej. Co ją tam czeka!

Wzdrygnął się.—I obaj razem spoglądali za od dalającą się; wreszcie odeszli powoli w milczeniu.

Tom II-gi.

Sprzedaz młynka zbyt miała wielki rozgłos w mieście, w którym dla braku życia i ciszy wszystko się szeroko rozchodzi i wielkiem echem odbija, aby nie oddziaływała na położenie artystki.

Ludmiła wybierała się opuścić saską stolicę, gdy Sitko wśród tych przygotowań do podróży, nadbiegł poruszony wielce, przynosząc wiadomość, iż dwa zamówienia na obrazy, z oznaczeniem cen wcale przyzwoitych, odebrał dla artystki. Tym razem składał najlegalniejsze dowody, iż one nie były żadnym podstępem, żadnem współczuciem natchnione, albo poprostu spekulacją.

Odgadywano w niej talent i chciano z niego korzystać. Jednym z zamawiających, który żądał widoku z Szwajcaryi Saskiej, był handlujący obrazami, drugim znany miłośnik sztuki.

— Pocóż się pani masz zżąd wynosić i uciekać—mówił Sitko—gdy tu właśnie czeka ją sława, która później przejdzie do kraju i tam jej drogę do uznania uściele, bo u nas, niestety, potrzeba zawsze zagranicznej sankcyi, aby krajowiec mógł zdobyć sobie imię i wziętość.

Ludmiła zawahała się.

— Ale pan wiesz, że ja się chcę uczyć jeszcze.

— Mojem zdaniem, choć ono nie wiele waży, pani się już nie potrzebujesz uczyć. Techniki masz zdobyta, uczucie natury rozbudzone, sposób jej pojmowania własny, wyrobiony: po cóż się na to narażać, aby obcy wpływ to wszystko zachwiał a może i zwichnął?

W tej chwili nieśmiały i bełkoczący Sitko tak przemawiał przekonująco, z takim uniesieniem pocziwem, że zachwiał nieco postanowienie Ludmiły. Obawiała się obu tych zamówień, aby nie sprowadziły rozczarowania i zawodu. Krajobraz ze Szwajcaryi Saskiej szczególnie przestraszał, bo tysiące jej oklepanych widoków i sama natura utrudniały stworzenie czegoś oryginalnego. Malowano to tylekroć, tak nieudatnie a tak jednostajnie, iż można się było narazić, albo na zarzut niezrozumienia fizjonomii, którą się nauczono widzieć jednostronnie, albo na trywialność i powszedniość.

Drugi krajobraz, fantastyczny, coś w rodzaju dzikich widoków Salwatora Rosy—więcej przypadał do smaku Ludmile. Po długim wahaniu się, rozmyślach, ociąganiu, choć Sitko nie ważył się już narzucać swego przekonania; Ściborzanka przyjęła zamówienia. Myśl jej żywo pracować zaczęła, zajęła się nimi, przejęła, zapomniała trochę o tem, co serce uciskało—odżyła.

Było to w kilka dni po rozstaniu się i pożegnaniu z hrabią Zygmuntem, którego już nie widziała więcej i nie spytała nawet o niego. Posłała mu tylko przez Sitkę przekaz do Tarkowskiego.

Nadszedł list, nie od niego, ale od córki jego, Genowefy, która donosiła o ciężkiej ojca chorobie. Z powodu tej słabości spóźniło się odzyskanie i nadesłanie pieniędzy; obiecywano je wkrótce wysłać.

Sitko nie miał już pozoru do odwiedzania hrabiego, który mu w ogólnych wyrazach wyjazd swój, wkrótce nastąpić mający, zapowiedział; nie wiedział też o nim.

W ciągu jego krótkiej bytności, Ludmiła kilka razy miała na ustach zapytanie o hrabiego, ale wstrzymała się z niem.

Hrabia Zygmunt nie opuścił był Dreźnie. Zasmucony, zgryziony, wahał się jeszcze, co pocnie. Wyprawił list do ojca, błąkał się po ogrodach i mieście; czytał, odkładał podróz, cierpiał.

Od pierwszego spotkania z Ludmiłą zajęła go ona mocniej niż kiedykolwiek w życiu która z mnogich, a pięknych panienek, jakie mu nieustannie swatano. Z uczucia dla niej, sam on się przed so-

bą nie umiał wytłómaczyć. Była-li to gorąca sympatya, obudzona położeniem sieroty i jej mężstwem, czy jedna z tych miłości, które bardzo rozliczne przybierają formy, choć jedne noszą imię, a które w rzeczy są bardzo różnej natury i siły?

Bądźco bądź, hrabia Zygmunt zajmował się nią nieustannie, brak mu jej było, myślał o niej, gotów był do ofiar, a piękność jej dla niego była wyrazem ideału. Nie była to namiętność gwałtowna, niespokojna, burzliwa; ale uczucie ciche, wytrwałe, nieprzemienne.

Od czasu, gdy jej nie widział, mógł zapomnieć i zobojetnieć; tymczasem rosło to przywiązanie i podróż za granicę, choć pozornie spowodowana innemi celami, wistocie przedsięwzięta była — w myśli poszukiwania i dowiedzenia się czegoś o losie Ludmiły.

Dziwnym zrzędzeniem znalazł ją w Dreźnie, widział; ale to krótkie spotkanie i towarzyszące mu okoliczności nie dozwoliły zbliżyć się do niej.

Ociągał się więc z wyjazdem, myśląc i szukając sposobów, jakimi-by mógł jeszcze widzieć się z nią i rozmówić szczerzej i dać jej poznać że życzliwość jego była czemś więcej niż zwykłym dla smutnego położenia współczuciem. Sądził zrazu, że pośrednictwa Sitki używać do tego nie wypada, że los mu nadarzy sam sposobność widzenia Ludmiły.

Postanowił więc przedłużyć swój pobyt w Dreźnie, i choć w nim już oglądał wszystko, co zwykle przybywający tu mają sobie za obowiązek widzieć — nudząc się, chodził po pracowniach, do galerij, po ogrodach, siadywał na terrasie godzinami, czekając zawsze jakiegoś szczęśliwego spotkania się z Ludmiłą.

Ale ona mało wychodziła z domu, a Sitko, który się na jakiś czas oderwał od roboty swej, teraz, zgłodniały, wróciwszy do niej, cały się jej oddał i także nigdzie się nie pokazywał. Hrabią został więc osamotniony, a że towarzystwa potrzebował, szukał więc kogoś, coby go choć godzinę w dniu jakimiś plotkami mógł zabawić.

W magazynie Arnolda, gdzie jakieś fotografie i akwarelle kupował, trafił mu się młody Niemiec artysta, trzypiotowaty wyrostek, pół-bursza, pół-cygana, w szpiczastym kapeluszu, który jako autor akwarelli targowanych, zawiązał rozmowę z hrabią. Był wesół, rubaszny: podobał się zdzonemu.

Wyszli razem z magazynu, a hr. Zygmunt zaprosił go z sobą na terras. Tu o sztuce i o życiu artystów, o mieście i okolicy, z takim zapasem młodzieńczej werwy pan Meyer godzin parę ubawiał go, iż, gdy się zaoferował być mu przewodnikiem do kilku jeszcze nieznanym pracowni, hrabia przyjął chętnie jego propozycją.

Meyer umiał się wszędzie wcisnąć, znał wszystkich, miał trochę talentu, więcej jeszcze śmiałości, a nadeszły język doskonale wyprawny. Nie można było zaręczyć: czy wyjdzie na znakomitego artystę? lecz obawy, o to: czy sobie rady na świecie? nikt nie mógł mieć, kto go poznał. Towarzysze porównywali go do kota, który, zrzucony z trzeciego piętra, zawsze na nogach się znajduje i cały pobieży dalej.

Dla Meyera, który pracował tylko, gdy był do tego zmuszony, kilka dni doskonale się przekarmił, wesóło zabawił, wypaplał i za to jeszcze sprzedać akwarelle za dobrą cenę: było gratką nadzwyczaj powabną.

Wybrali się więc nazajutrz około południa do pracowni, a w drodze, jakby sobie coś przypomniawszy, artysta zawołał:

— O mało com nie zapomniał, a szkoda, byś pan nie oglądał prac jednego z najgenialniejszych młodych naszych mistrzów. Tak, jest to już mistrz skończony — jest to malarz wielki i zająłby pewnie znakomite stanowisko, gdyby nie życie trochę rozwiązałe i bałamutne, jakie prowadzi.

Niema go w tej chwili w Dreźnie, bo się po skończeniu processu z żoną wyniósł gdzieś szukać kąta, ale ja znam jego gospodynię, otworzą nam atelier. warto je widzieć.

Hrabią z roztargnieniem spytał o nazwisko artysty.

— Piotr Paweł Apold, a nawet von, bo pochodzi ze starej szlachty naszej, jak Schnorrry von Carolsfeld.

Mało to zdawało się obchodzić hrabiego, który się dał prowadzić swemu przewodnikowi obojętnie.

Pracownia Apolda była zamknięta, lecz kilka złotych starczyło, aby ją sługa otworzyła.

Ostatniemi czasy malowane obrazy, pokończone i popodmalowywane, wistocie z nadzwyczajnym ogniem i natchnieniem dzikiem malowane, zwróciły uwagę hrabiego. Zkolei wskazywał je i wydobywał na światło Meyer, gdy hr. Zygmunt, obchodząc do koła pracownią, spostrzegł na jednej ze ścian obraz, przed którym stanąwszy, pobał jak ściana.

Była to cudownie dokończona z pamięci owa grupa, przedstawiająca Ludmiłę i Lischen. Ostatnia skończona z natury, była nadzwyczaj piękną, lecz Ściborzanka trochę wyidealizowana, niezmiernie podobna, przechodziła ją majestatem i blaskiem. Hrabią nie mógł się na chwilę zawahać; poznał ją po tem czemś jej właściwym, co Apold umiał pochwycić: po wyrazie smutnego uśmiechu i zadumy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

IRLANDYA

RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg).

Epoka IV. — 1776—1829.

1. Około stu lat nekana była katolicka Irlandya tyranią w głównych tu rysach poprzednio wystawioną. Ku końcowi dopiero wieku XVIII zaczęła się powoli wyswabzać. Pierwszą do tego okolicznością była rewolucya w osadach angielskich w północnej Ameryce. Pierwsza to była rewolucya, co się odbyła przy świetle wolności druku i parlamentowych rozpraw. Nigdzie ona nie znalazła więcej sympatyi, nigdzie głębiej nie poruszyła umysłów, jak w Irlandyi, której położenie nie było bez analogii z położeniem tych osad chwytających za broń, kiedy je arbitralnie podatkami obciążać chciano. Ta analogia musiała uderzyć umysł w samej nawet Anglii, i odtąd nie było w Parlamencie mowy o Ameryce, ażeby zarazem nie zwrócono się do Irlandyi; najwymowniejsze głosy opozycyi dały się słyszeć na korzyść tak długo uciśnionego kraju, ukazując na powstanie Amerykanów, jak na groźną dla Anglii przestrożę. Nie pozostało to bez skutku: po ogłoszeniu niepodległości amerykańskiej nastąpiło skasowanie niektórych praw karnych, a mianowicie:

1-mo. Dozwolono katolikom posiadanie ziemi tytułem dzierżawy na 99 lat. Była to więc dzierżawa wieczysta, choć jeszcze nie własność, której nie chciano przyznać z obawy, aby katolicy zbyt wielkiego wpływu na wyborach nie mieli.

2-do. Zniesiono przywilej spadkowy synów katolickich rodzin, którzyby na protestantyzm przeszli.

3-io. Zniesiono nareszcie całe urządzenie o spadkach katolickich, poddając je tem samem pod ogólne prawa.

Niewielkie to były wprowadzenie ulżenia; było to już jednak pierwsze nadwężenie kodexu tyranii; był początek zbawiennej reformy.

Tymczasem z powodu swoich kolonij Anglia wdała się w wojnę z Francją i z Hiszpanią, i przymuszona była ściągnąć część wojska z Irlandyi, której brzegi cochwila były zagrożane wylądowaniem. Irlandya prosiła pomocy: odpowiadano jej iż ma się bronić jak może. To dało Irlandyi uczucie własnych sił, tem żywsze im większe były kłopoty Anglii.

Jednocześnie mocno była nieukontentowana Irlandya, że jej odmawiano wolności handlowej i potworzyły się stowarzyszenia mające na celu wyłączenie wszelkich towarów angielskich dla odplacenia Anglii za jej zakazy.

W takim stanie rzeczy vice-król ogłosił, że Skarb nie ma środków utrzymywania milicyi stałej. Wtedy jednym niejako poruszeniem sformowała się w całej Irlandyi milicya ochotników; uzbroidła się, podzieliła na pułki i uorganizowała; wybrała sobie dowódców i ustanowiła przepisy karności; — wszystko to bez najmniejszego udziału i dozoru ze strony rządu. Stowarzyszenia ku piekie zamieniły się w stowarzyszenia wojskowe. Przybrały one wkrótce imponujący charakter. Złożone z czterdziestu tysięcy uzbrojonych członków, zaczęły tworzyć istotne, choć zewnątrz praw, zgromadzenie narodowe. Każdy korpus mianował większością głosów swoich reprezentantów na to zgromadzenie, gdzie zaczęto poruszać wszystkie kwestye, roztrząsać postępowanie rządu i parlamentu i siłą opinii rozkazywać niejako jednemu i drugiemu. Takie wojskowe stowarzyszenie nie mogłoby nie stać się powodem wielkiego nieładu, gdyby nie udział wszystkich najznakomitszych i najbogatszych osób ze szlachty i stanu miejskiego, które stanęły na czele korpusów ochotników przez patriotyzm, a potem przez wyrachowanie, stanowiska swego opuścić nie chciały.

Milicya ta ochotników, lubo po największej części z protestantów złożona, dała przecie do poznania Anglii i Irlandyi, że już w tej epoce u wielu protestantów zaczęły znikać przesady i nienawiści przeciwko katolikom, kiedy, domagając się wolnego handlu i niepodległego parlamentu oświadczyła także, iż powodowana uczuciami człowieka, Irlandczyka, chrześcijanina i protestanta, chętnieby widziała ulżenie praw karnych przeciwko współ-obywatelom katolikom istniejących.

Od tej epoki datuje się w istocie powstanie liberalnej partyi między protestantami irlandzkimi; katolicka Irlandya zaczęła mieć stronników między swymi ciemiężcami, stronników, którzy, choć nie bardzo energicznie za nią przemawiali, uznali przynajmniej wyrządzone jej krzywdy.

2. Najważniejszym skutkiem ogromnego wpływu tych poruszeń ochotników na opinię publiczną było usamowolnienie parlamentu irlandzkiego, który deklaracją z d. 19 Lipca 1782 ogłosił się niezależnym.¹⁾

Deklaracya ta na kilkudziesięcio-tysięcznej armii oparta, musiała być przez Anglią przyjęta. Było to jakby echo niepodległości amerykańskiej. Różnica w tem, że osady amerykańskie, ogłosiwszy się niepodległymi, zerwały z Anglią, bo zdobyły to, czego nie miały, Irlandya zaś odzyskała tylko swoje istotne prawa, i ściślej się jeszcze z Anglią połączyła.

Choć ta niepodległość parlamentowa była głównie korzyścią protestantów, nie mogło się atoli przy takim wypadku obejść bez pewnych koncessyj dla biednej ludności katolickiej; jakoż udzielono katolikom prawo nabywania ziemi na bezwarunkową własność jakimkolwiek bądź prawnym sposobem: przez kupno, darowiznę lub zapis, na równi z protestantami, a tem samem przypuszczono ich do wyborów²⁾. Powtóre zniesiono zakaz używania koni droższych nad 5 f. st., jakoteż uwolniono konie katolików wogóle od rekwizycyi. Dalej odwołano zakaz odbywania katolickiego nabożeństwa, z wyjątkiem jednakże bicia w dzwon; równie jak i kary więzienia na katolików nie chcących denuncyować swoich księży; deportacye i kary śmierci na tychże księży i t. d. Nareszcie pozwolono katolikom być nauczycielami i sprawować opiekę nad małoletniemi.

Wówczas także ogłoszono nieodwołalność sędziów i *habeas corpus*, prawo wolności osobistej na tychże samych, co i w Anglii, zasadach. Prawa te, choć nie do katolików wyłącznie stosujące się, były przecie z ich korzyścią, jako masę ludności składających.

Zgromadzenie ochotników chciało zrobić jeszcze jeden krok naprzód, i krok bez wątpienia najważniejszy. Zrobiło go nawet, ale nie popierało

1) Z wielu politycznych działaczy tej epoki na szczególną zasługę wzmiankę znakomity Henryk Grattan, świątły i szlachetny protestant, wielki mowca, który się najwięcej do tego aktu przyczynił.

2) Ale jeszcze nie do parlamentu.

z tą energią i wytrwałością, jak sprawę usamowolnienia. Rzecz szła mianowicie o reformę parlamentu irlandzkiego, który był dalekim od istotnej reprezentacji narodowej. W samym parlamencie podano ten projekt, ale go znaczną większością po długich i burzliwych sporach odrzucono. W ciągu tych rozpraw nie można było uniknąć pytania o emancypacji politycznej katolików, t. j. o przypuszczeniu ich do Parlamentu; pytanie to zmieszało się i połączyło niemal z projektem reformy i zapewne było główną przyczyną jego nieprzyjęcia. Zresztą nie trzeba zapominać, że milicya ochotników z protestantów się składała. Nie tak im bardzo już chodziło o reformę Parlamentu; nie wszyscy między nimi jednakowo myśleli, a wielu obawiało się, ażeby dalsze rozprawy i reformy nie sprowadziły jakiej niebezpiecznej zmiany w położeniu katolików, którym tylko ulżyć chciano, a nie emancypować ich.

Reforma więc parlamentu nie doszła, a parlament ten niedosyć-że nie reprezentował kraju (też samą wadę miał i angielski do r. 1832) ale nadto był w najwyższym stopniu przedajnością spodłony. Dawanie zyskownych urzędów i bezpośrednio przekupywanie, były to dwa środki, za pomocą których rząd angielski miał na swoje rozkazy parlament Irlandyi. Kosztowało to w r. 1756 około 44,000 f. s., a po emancypacji parlamentu daleko więcej: bo do 120,000 f. s. rocznie, nie licząc jeszcze przekupstw nadzwyczajnych jakie trzeba było czynić, kiedy projektowany przez Rząd środek był zbyt antynarodowy i wielką wzbudzał opozycją u tych nawet, co stałe pensye pobierali i już przyzwyczajali się uważać je jakby z obowiązku dawane. Do takiej doszło bezcelności, że kiedy znakomity Grattan zawołał na posiedzeniu parlamentu, że jego większość jest przekupiona, ani jeden głos przeciwko niemu nie powstał. Z Izba Lordów miał Rząd jeszcze łatwiejszą sprawę: była to po większej części nowa szlachta konfiskatami wzbogacona, kontenta, że się mieszała z arystokracją angielską, i że mogła świecić przy Dworze. Ma się rozumieć że wszystkie koszta na przekupywanie Parlamentu ponosił budżet Irlandyi, która tym sposobem płaciła swoim przedajnym prawodawcom za to aby ją uciemieźali. W zupełnym braku funduszy Rząd sprzedawał parowstwa, i tym sposobem nowe zyskiwał summy; czyli jak powiedział Grattan, ministrowie sprzedawali prerogatywy Korony, ażeby kupować przywileje narodu.

Ponieważ namiestnicy irlandzcy rzadko bardzo w Irlandyi rezydowali, biorąc tylko ogromne pensye (600 tys. fr.), interessa sprawowały się przez trzech lordów-justycyaryuszów, i ci-to prowadzili układy dla otrzymania większości parlamentarnej. Zresztą wszystkie urzędy w Irlandyi były sprzedawane i kupowane; wszystko było przedajne: zepsucie tak ogromne, że najszczęśliwsze usiłowania vice-króla w niczem-by mu zaradzić nie zdołały; jak tego był dowód na lordzie Townshend, sprawującym ten urząd około r. 1767.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Ślizgawka.—Dobroczytność.—Kuchnie ludowe.—Nocleg w łaźni.—Przytuliska dla ubogich.—Arcy-wzór skąpca.—Odczyt Xiedza Siemieńskiego „O dziejach miłości bliźniego“.—Odczyt Koła literackiego i Towarzystwa Pedagogicznego.—*Obrazki z najdawniejszych czasów Przemysła*, przez Anatola Lewickiego.—*Sejm czteroletni*, Xiedza Walerjana Kalinki.—Biblioteka *Mrówki*.—Maurycy Gosławski.—*Wzory haftów włosciańskich na Pokucie*, przez Ludwika Wierzbickiego.—Walne zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego.—Teatr.—Nowa dyrekcya, przygotowania p. Miłaszewskiego.—Operetka i sztuki ludowe; pierwsze przedstawienie.—† Szymon Krawczykiewicz.

Lwów, w Marcu 1881 r.

Od lat dwóch już, będąc stałym korespondentem *Bluszczu*, z regularnością dobrze nakreco-

nego zegara, a scistością fotografa, staram się w wiernym obrazie przedstawić każdą wydatniejszą chwilę naszego tutaj życia społecznego i umysłowego, i od dwóch lat nigdy jeszcze w tak trudnym jak dzisiaj nie byłem położeniu. Przeminał szal zapustny; posypawszy głowy popiołem, spowaźnieliśmy, zesmutniali—popadli, rzekłbym, w letarg chwilowy, najgorszy zawsze dla korespondentów; Marzec, zmienny, kapryśny, zawisł nad nami brzemieniem chmur ołowianych i odbiera nam energią do pracy, humor do zabawy. Życie towarzyskie ucieka do sali koncertowej lub do teatru w dni dżdżyste, a w razie mrozu—na ślizgawkę; a chociaż i łyżwiarze nasi skarżą się na tegoroczną zimę, ubolewając nad jej kapryśną zmiennością, z tem większą skwapliwością korzystają z każdego silniejszego przymrozku, śpiesząc na tak zwaną „Szumanówkę“ pod laskiem Węgleńskiego, gdzie mają umyślnie do swych ćwiczeń łyżwiarzkich najęty i urządzony stawek. Ślizgawka u nas weszła w modę onego jeszcze czasu, gdy cesarz Napoleon III, wielki lubownik tego rodzaju zabawy, używał jej z całym swym dworem i śmietanką arystokracji paryzkiej, na stawku Tuilleryjskim; a choć się posliznął pod Sedanem i sadzawka Tuilleryjska opustoszała, u nas już tymczasem moda weszła w zwyczaj i utrzymała się, pielęgnowana przez zawiązane umyślnie w tym celu towarzystwo łyżwiarzkie. I oto gdy mróz schwyta, zwłaszcza w dni świąteczne, zaludnia się sadzawka na Szumanówce gromadą łyżwiarzy obojej płci na lodzie i gromadą widzów na trybunach w około stawku. W Niedziele i święta, jeśli pogoda służy, odbywa się ślizgawka galowa, istny bal łyżwowy. Wówczas bilety wstępu do łóż i na trybuny, drogo płatne, przynoszą znaczny dochód towarzystwu. Muzyki wojskowe przygrywają, a zabawa na lodzie przeciąga się dopótna w noc, przy ogniach bengalskich i pochodniach. Gdy noc zapadnie, przed oczami widzów roztacza się czarodziejski, na wół fantastyczny obraz. Paręset osób przesuwają się jakby widm gromada, na tle tajemniczym nocy, wśród łuny buchających wokoło świateł. Wyścigi i tańce ożywiają zabawę; a matki i ojcowie, podobnie jak w sali balowej, przyglądają się zdaleka z łóż i brzegów zręcznej gimnastyce i zabawie młodzieży, zabawie, której wynikiem bywa, niestety! często kaszel suchotniczy lub inne choroby. Ale od czegoż młodość—ta pora, w której nieraz, porwani szaleem, nie pamiętamy o niczem więcej, jeno o chwili obecnej?!

Tymczasem w życiu, jak w bajce: „Co dla jednych jest zabawką, innych zabija“. Mróz, na który z takim upragnieniem czekają łyżwiarze, aby im wygładził kryształową powierzchnię sadzawki, zką dobrze otulonym w szale i futra, uśmiecha się nadzieją milej zabawy—tensam mróz dla nędzarza, niemającego ciepłej strawy łyżki dla ogrzania się, ni dachu nad sobą, jest ciężkim ciosem, pogorszającym stokroć jego nędzę. Gdy pod lachmanami, krew od zimna w żyłach krzepnie i kostnieje ręka po jałmużnę wyciągnięta, a dla dania jałmużny małokomu z przechodzących a uciekających przed zimnem chce się zatrzymać i wydobyć sakiewkę, wówczas położenie ubożego staje się prawdziwie rozpaczliwym. Głód i choroba bardziej dokuczają przy zimnie, odzywają się wszystkie cierpienia starości i kalectwa. A cóż mówić o setkach tych rodzin, co przy ciężkiej pracy na mrozie od rana do nocy, nie mają wiązki drzewa, aby ogrzać wilgotny ką i nagotować dzieciom jakitaki pokarm? Trzeba przyznać, że w tym roku zakrzętnięto się tutaj gorliwie około niesienia ulgi ubogim, a chociaż i dawniej tutejsze Towarzystwo Dobroczytności wiele czyniły dobrego, w tym roku Lwów znacznie więcej w tym względzie robi niż lat dawniejszych. Towarzystwo opieki nad ubogimi „Opatrzność“, zawiązane, jak już donosiłem, głównie za staraniem tutejszego obywatela i kupca p. Markiewiczza, nie zdołało jeszcze wprowadzić dotąd, z powodu niedostateczności funduszy, usunąć zupełnie z ulic żebractwa, co winno być jednym z pierwszych jego zadań objętych statutami, ale obdziela dzień w dzień wszystkich zgłaszających się do jego biura ubogich, dwa razy dziennie, ciepłym posiłkiem. Zrana na śniadanie dostają oni po

szklance ciepłej herbaty z kawałkiem chleba; na obiad zaś rosół lub krupniku z kawałkiem mięsa. W początkach bywały jeszcze do tego na drugą potrawę kluski lub kasza, lecz okazało się wkrótce, że dochody „Opatrzności“ lwowskiej nie są jeszcze tak znaczne, aby na obiad z dwóch potraw złożony wystarczyć mogły. Obecnie więc nędzarze nasi muszą się obchodzić bez kaszy i klusek, ale natomiast ciepłym krupnikiem większą ich liczbę zaopatrzyć można. Równocześnie Towarzystwo s. Wincentego à Paulo rozdaje zupełnie rumfordzką, podobnie jak lat dawniejszych. Staraniem jego jest głównie niesienie pomocy ubogim wstydzącym się zebrać, i tem odróżnia się ono od Towarzystwa „Opatrzności“, opiekującego się wyłącznie ubóstwem, posuniętem aż do żebractwa. Towarzystwo s. Wincentego wyszukuje pilnie ubogich, co lży i cierpienia usiłują ukryć przed światem, upadając pod brzemieniem pracy, niewystarczającej, pomimo największego wysiłku, na utrzymanie życia. Nie udziela ono zasiłków pieniężnych, ale rozdaje assygnaty na mięso, wiktuały; drzewo, i tym sposobem staje się duchem opiekuńczym wieluset rodzin, w prawdziwym pogrążonych niedostatku.

Trzecią, wielce dobroczynną, instytucją są obie kuchnie ludowe, chrześcijańska i żydowska, utrzymywane ze składek publicznych, staraniem umyślnie w tym celu zawiązanych komitetów. Kuchnie ludowe, wydając obiady z dwóch potraw złożone wraz z chlebem za 10 centów, bądź to na miejscu w restauracyi, bądź na miasto do domów, tym, co są możności tę cenę obiadu zapłacić, wyrządzają wielkie dobrodziejstwo znacznej części ludności wiejskiej. Rzecz naturalna, że za cenę dziesięciu groszy obiadu takiego niepodobna zgotować, lecz niedobór pokrywa się z dochodów kuchni, płynących z datków dobroczynnych, przez komitety zbieranych. Oprócz tego obie kuchnie wydają rokrocznie wiele tysięcy obiadów bezpłatnie, za zgłoszeniem się do komitetu kuchni jednej lub drugiej; a wspomnieć i o tem z całym uznaniem należy, że kuchnia żydowska wydaje także obiady zgłaszającym się ubogim, bez różnicy wyznania, zarówno żydom jak i chrześcijanom. Czyniłaby toż samo chętnie kuchnia chrześcijańska, ale żydzi się do niej nie zgłaszają.

Wszystkie jednakże pomienione usiłowania nie podolają jeszcze zadaniu usunięcia nędzy z naszego społeczeństwa. Człowiek czyni co może, ale przy najlepszych chęciach siły jego są ograniczone. *Nec Hercules contra plures*. A do jakiego stopnia, pomimo tych wszystkich usiłowań, dochodzi u nas i krzewi się nędza, podobnie jak w każdym większym mieście, okazała w przerażający sposób przedsięwzięta niedawno rewizya policyjna w tutejszej łaźni żydowskiej. To, co tam znaleziono, dostarcza wymownej ilustracyi, w jakiej-to biedzie żyć muszą ludzie na świecie, niemający własnego dachu. Właściciel łaźni przyjmował do niej na nocleg wyrobników, którym ten ką ogrzany stawał się prawdziwym eldoradem, po całodziennej pracy na zimnie lub deszczu. Znaleziono tam dziewięćdziesiąt trzy osoby leżące pokodem na podłodze i stopniach łaźni. Miejsca na ławach i stopniach płaciły się po trzy grosze—na podłodze i pod ławami o połowę taniej. Można sobie wyobrazić zaduch i brudy w tej sypialni improwizowanej co wieczora po rozejściu się gości łaźniowych. Każda noc przynosiła tym sposobem właścicielowi łaźni kilka guldenów, a zatem sto kilkudziesiąt guldenów miesięcznie za noclegi oprócz dziennego dochodu. A nadto jeszcze noclegowi goście mieli go za istotnego dobrodzieja swego za to, iż ciepłego nie odnawiał im kąta u siebie. Biedactwo to cisnęło się, jak śledzie w beczce zduszone, oddychało po całych nocach wilgocią i niezdrowymi miazmatami, a pomimo tego, kto się tam mógł dostać, komu los nie poskąpił tych kilku centów, potrzebnych na opłacenie noclegu, miał się za szczęśliwego w porównaniu z tymi, co i takiego noclegu opłacić sobie nie mogli. Gmina tutejsza utrzymuje wprawdzie w każdej dzielnicy, najęte kosztem miasta, na porę zimową, tak zwane „przytuliska“, złożone z kilku izb ogrzanych, w których ubodzy każdej chwili ogrzać się mogą lub przenocować bezpłatnie na przygotowanej w tym celu słomie; ale tam ciśnię

się już tylko najędźniejsze zebractwo. Plutokracja, będąca w możności płacić, szuka sobie wygodniejszego noclegu w łaźni lub tym podobnych zakątkach, przerażających swą okropnością. Aby temu zaradzić, nie pomoże ani czujność policyjna, ani, chociażby na jaknajszersze rozmiary rozwinięta, działalność filantropijna: na to skutecznym lekarstwem jest tylko podniesienie dobrobytu powszechnego, odbywające się z wolna przy sprzyjających okolicznościach, wszędzie i zawsze tylko za wspólnym działaniem filantropii, władzy i pracy obywatelskiej. Ale u nas jakże jeszcze daleko do tego, aby każdy miał, nie mówiąc już o kurze w garnku, przynajmniej garnek ciepłej strawy na dzień, a na noc ogrzany kąt do przespania się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Prawdziwa popularność, zdolna rzeczywiście cieszyć serce ludzkie, była udziałem zmarłego Carlyle'a. Francuzki literat Quesnel pisze, że raz w Londynie, jadąc omnibusem, który przeważnie zapełniali robotnicy, spostrzegł, jak za otwarciem drzwi drzewce i ukazaniem się w nich niemłodego człowieka wątłej postaci, którego silnie pomarszczoną twarz ostrych rysów oceniał duży kapelus, wszystkie rozmowy nagle ustały, niedbale postawy wyprostowały się natychmiast i trwało to aż do chwili, w której nieznajomy wysiadł, pożegnany przez wszystkich pełnym uszanowaniem uchynieniem kapeluszy. — Kto to jest? — zapytał Francuz, skoro po oddaleniu się ponurego starca, wszystko wróciło do dawnego porządku. — Tomasz Carlyle — odpowiedziano mu z takim wyrazem, jakgdyby mówiono: — Wielki pan, bogacz, magnat. Był to tylko wielki człowiek, którego szanował lud jego kraju. Lord Palmerston oświadczył też raz, że żadne powołanie w Izbie, żadne pochwały dzienników nie sprawiły mu nigdy takiego zadowolenia, jak kiedy słyszał raz zdaleka nazwisko swoje, poufale mieszające się do rozmowy dwóch australijskich osadników.

Telefon posilkujący się mikrofonem, zdaje się mieć przed sobą cudowne zastosowania, i oto wczasy Paryżkiej wystawy elektryczności, która ma mieć miejsce tego lata, postanowiono zrobić ciekawe doświadczenie na Champs Elysées. Dwadzieścia telefonów ma być postawionych w zetknięciu z Wielką Operą, aby przy ich działaniu słuchać muzyki w odległości więcej niż kilometru. W podobny sposób można-by rozszerzyć koło słuchaczy izb parlamentu, sądowych, mównic uniwersyteckich.

Geograficzny przegląd paryżki podaje ciekawe wiadomości o braciach Zani, Wenecjanach, którzy mieli odkryć Amerykę w XIV wieku; Opis ich podróży drukowany był już po podróżach Kolumba i chodzi też tylko o to, czy jest autentyczny? Paweł Gaffarel badając go w *Revue de géographie*, podaje treść następującą: — Fryzejscy rybacy, zagnani burzą na pełne morze, zbłąkali się na niem, i po długiej podróży ujrzeli wreszcie przed sobą, na więcej niżeli tysiąc mil na zachód od Europy, wielką wyspę, przy której brzegach statek ich rozbił się, a oni ujęci przez krajowców, zaprowadzonymi zostali do pięknego, ludnego miasta. Stawiono ich tam przed królem, który dla rozmówienia się z nimi, kazał zwołać rozmaitych tłumaczy, lecz żaden nie mógł porozumieć się z przybyszami i potrafił to dopiero jeden łacinnik, podobnie jak oni zapędzony tu przez burzę. „Ten — pisze Zani — zapytał ich w imieniu królewskim: czem są i skąd przybywają? zapisał sobie

co powiedzieli i przedstawił królowi, który, wiedziawszy się o wszystkim, chciał, aby zamieszkał w jego kraju“. Po długim pobycie w tej miejscowości i innych pobliskich jeden z rybaków zdołał powrócić do ojczyzny, a jego opowieść dała początek wyprawie, do której należał Antoni Zani. Wielu Europejczyków miało pozostać na ziemi odkrytej, aby ją kolonizować.

Nowy komentator Boskiej Komedyi, zjawił się we Włoszech — prosty gondolier wenecki, nazwiskiem Antonio Maschio. Jest to syn drobnego przekupnia, ledwo umiejący czytać i pisać, zamiłowany od dziecka w poezyi i oddający jej się z zapalem. Przed 12-tu laty, pewny podróżnik niemiecki pisał jak o cudzie o chłopcu, spotkanym przez niego na jednej z wysepki weneckich, który ledwo-że pochwytywszy coś elementarnego wykształcenia, umiał na pamięć znaczną część poezyj Tassa, Danta i Petrarcki, których się wyuczył ze starych druków, nabytych przez jego ojca, przekupnia, do owijania towaru, a które on znalazłszy na strychu, zabrał na bibliotekę swoją. Chłopcem tym był Antonio. Wyrósłszy, został gondolierem; za zarobione pieniądze poskupował sobie rozmaite wydania *Boskiej komedyi*, ale czytał je wszystkie bez komentarzy i rozmyślał nad nimi samodzielnie. Zkolei dopiero zabrał się do poznania komentatorów i z podziwieniem spostrzegł, że w wielu punktach jego samotne rozmyślenia godziły się z niem, lecz też i różniły się w wielu. Powaga uczonych *signori chiosatori* nie zaimponowała mu przecież; przeciwnie, występuje z niem do sporu i od czasu do czasu porzucając wiosło i laguny, wędruje od miasta, do miasta, wykładając ludowi dzieło wielkiego poety. Domorosły ten krytyk, nie znalazł jednak żadnego uznania w kołach literackich, i dzieło jego, wyszło niedawno w Wenecyi „Pensieri e chiose sulla *Divina Comedia*, del gondoliere Antonio Maschio“, uważane jest za pozabawione wszelkiej wartości. Niemniej produkt ten oryginalnej i świeżej myśli ludowej musi mieć ciekawe i zajmujące strony.

Muzeum Brytańskie, posiadające, oile wiemy, największą, najdoskonalej urządzonej i utrzymywaną bibliotekę, postanowiło ogłosić drukiem jej katalog. Obliczono, że olbrzymi ten księgospis będzie obejmował 200 tomów, że zaś rząd przeznaczył na to narodowe wydawnictwo 1,600 funtów sterlingów rocznie, zatem zarząd British Museum może wydać co rok tylko pięć tomów i dzieło zostanie skończone zaledwie za lat czterdzieści, bo trzeba wziąć w rachunek i nowe zapasy ksiąg, które przez upływ tego czasu bibliotece przybędą. Obecnie katalogi biblioteki obejmują trzy miliony tytułów, nie można się też dziwić, że cena jednego egzemplarza jest oznaczona na 4,000 franków. Kosztowne to wydawnictwo, mające się ciągnąć o jedną tylko dziesiątkę mniej, niż pół wieku, uważać należy za mało dostępne, nie tylko dla ludzi średnich majątków, ale i lat średnich. Młody się zestarzeje, nim je w całości otrzyma.

Odkopywania Niniwy i Babilonu, dokonywane z ramienia British Museum przez starożytnika Hormuzd Rassam, z bogaciły się odkryciem w pobliżu Bagdadu na gruncie starego kanału Nahr Malka, starożytnego miasta babilońskiego, nieznanego dotąd w świecie uczonych badaczy przeszłości. Odkryto już znaczny zbiór napisów tak klinowem jak i innym pismem.

Amerykańskie Pompeje odkopywane są również obecnie przez amerykańsko-francuzką wyprawę pod kierunkiem uczonego poszukiwacza śladów przeszłości, Charney. Polem działań wyprawy jest dzisiejsze państwo Meksykańskie i Ameryka środkowa, otóż zaraz tuż pod murami miasta Tulla, wznoszącego się na miejscu dawnej stolicy Tolteków, znalazł Charney ruiny wielkiego pałacu i odkopał poza tem wille, obejmującą 25 komnat, 15 wschodów i 12 kurrytarzy. Szczątki

porcelany, grubych naczyń glinianych, oraz szkła znalezione wpośród gruzów okazują wybitniej niż wszystkie inne dotychczas znane pozostałości po Toltekach, styl azjatycki. Znalezione tam koci potężnego zwierza przezuwającego, którego goleń jest gruba 4, długa 14 cali.

Nowoodkryty kraj na północzachodzie Australii otwiera się dla kolonizacji europejskiej. Wyprawa, prowadzona przez Alexandra Forrest z Melbourne, znalazła poza pasem gór piękną i żyzną przestrzeń bujnych błoni, obejmującą dziesięć milionów hektarów. Odkryty kraj opisuje w Australii przebywający niemiecki botanik, Ferdynand Müller, w sposób ponętny. Panujący tam, a od Oceanu wiejący wiatr zachodni, lagodyni upały tej krainy otwartej, która ztąd wolną jest od zabójczej febry, gdy podzwrotnikowe ulewy w czasie gorących dni lata, a w porach chłodniejszych drobne deszcze utrzymują pastwiska w stanie nieustającej zieloności. Przytem wiele doskonałych przystani czyni północ-zachód Australii łatwo dla żeglugi dostępnym, a co ważniejsza, kanał Suezki umożliwiła przewóz produktów nowo odkrytej krainy w strony południowej Europy. Ludzkość dociera dziś ruchliwie do najuchronniejszych zakątków ziemi, aby objąć je wszystkie w posiadanie i to szerokie rozpościeranie się po globie mogłoby wbić w pychę wszechwładztwa pokolenie dzisiejsze, gdyby nie ruiny przeszłości, które wśród zagubionych pustyni odnajdując podobnie, podziwiamy, a które wykazują, że i człowiek poprzedni pracował również i okrył świat pomnikami olbrzymiej pracy.

Schliemann obdarował naród niemiecki całym ogromnym zbiorem wykopalisk trojańskich, które cesarz Wilhelm przyjął od niego w imieniu państwa z warunkiem, że „pozostaną na wieczne czasy w posiadaniu i zachowaniu stolicy“. Dziękując ofiarodawcy za dar wspaniały, który „jest dowodem przywiązania jego do niemieckiej ojczyzny“ cesarz napisał list własnoręczny. Czterdzieści pak, zawierających starożytne skarby greckiej sztuki i greckiego przemysłu przybyło właśnie do Berlina; będą rozpakowywane dopiero w maju, a sam Schliemann przybędzie wtedy na miejsce, aby przewodniczyć ich rozmieszczeniu w Muzeum etnologicznem, które się właśnie buduje. Sale zajęte przez nie, nosić będą nazwę sal Schliemanna.

Historyczny a raczej legendowy wawóz prowadzący do Küssnacht: „Die hohle Gasse“ Tella ma być wkrótce rozszerzony i zajęty przez kolej żelazną z Immensee. Miejscowy dziennik kantonalny: „Bote der Urschweiz“ protestuje i woła, aby nowożytny postęp nie zmywał z ziemi szwajcarskiej wielkich kart dziejowych, aby do Küssnacht była dla swoich i obcych zawsze jedna tylko dawna droga „Die hohle Gasse“. Głos obronny wznieść się powinien zewsząd, bo legenda Tella, unieśmiertelniona przez geniusz poety, należy do całego świata dusz czujących.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 8-my powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Śmierć i życie, (poezya), przez M. I. — Pogawędka. — Żony ludzi pracujących, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna, (Lwów). — Drobnie listki.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Powracając do dworku, Henryk badawczym wzrokiem powiódł po wszystkich oknach. Panna guwernantka uparcie pozostała w swoim pokoju, o co nie mógł się gniewać, gdyż sam wyraźnie powiedział, że pragnie jej unikać, o ile tylko będzie mógł. Zresztą wcale nie życzył sobie spotkania z nią, lubo było jego obowiązkiem, przezycieć żyć niechęć i w osobistym stosunku poznać dobrze charakter tej kobiety. Mysł napisania listu nie doprowadziła by go do celu, wypowiedział ją też tylko w uniesieniu, bez głębszego zastanowienia się. Teraz dopiero czuł, że tego w żadnym razie nie należało uczynić.

Może w którym oknie zobaczy jej twarz, a nie raz twarz ludzka, nawet przez krótką chwilę widziana, może powiedzieć mam bardzo wiele. Mimowoli uśmiechnął się, spoglądając w okna, przedstawiające rzeczywiście smutny bardzo widok. Tylko trzy zdawały się od biedy godnymi, aby ukazała się w nich piękna twarzyczka kobiety. Zaopatrzone one były w piękne, białe firanki i znajdowały się z lewej strony drzwi siennych. Po prawej nie było ani jednej szyby; niektóre były zaklejone papierem, inne zastawione różnymi sprzętami, ostatnie okno zasłonięte okiennicą. W tej części dworku znajdowała się zapewne izba służącej, lub sławny pokój jadalny ze srebrami imci pana posesora Franz.

Jakiś biały, ruchomy przedmiot zwrócił nagle jego wzrok ku górze. Z otwartego okna poddasza powiewały muslinowe firanki, na framudze stały doniczki z kwitnącemi różami, a na widzialnej z dołu części ściany, obitej jasnemi tapetami, wisiały obrazy w złoconych ramach. Tam więc przebywała jaśnie wielmożna panna guwernantka! No, niech sobie zostanie w swym przybytku muz i sztuk pięknych — w tej chwili Henryk nie czuł się wcale usposobionym do przemawiania wyszukany stylem, zwykłym towarzyskim językiem owych kół, w których żyła i obracała się szanowna sawantka.

Wszedł napowrót do sieni. Drzwi do kuchni stały na rozcież otwarte i przez nie można było widzieć całą izbę, wyłożoną ceglana posadzką, której okna wychodziły na las. Słynna z czystości kuchnia Grieblowej zaledwie mogła się mierzyć z tą, w której przeniesione z Gelsungen resztki miedzianych naczyń, połyskiwały jak zwierciadła, a wszystkie drewniane sprzęty świeciły prawdziwie śnieżną białością. Henryk stał rozpatrując się do koła i poznał, że biedna chora miała zupełną słusność, niedowierzając obfitości obiadu. Na trzonie buchał parą homeopatycznie mały garnuszek z zupą, a dwa już sprawione i przyrządzone, lecz chude bardzo gołąbki, czekały na chwilę, w której ręka kucharki złoży je na brytfannę.

Ale tej ręki nie było. W kuchni panowała tak głęboka cisza, że wyraźnie dawało się słyszeć uderzania o szyby jakiejs zabłąkanej pszczołki, pragnącej się wydobyć na wolność, lecz Henryk nie dziwił się temu zapewne, że wierna pokojówka, będąca zaufaną powiernicą swej pani, pobiegła do niej na górę, aby opowiedzieć, iż on tu jest.

Gdy wszedł do pokoju, zauważył ślady łez na łagodnym obliczu kobiety i ujrzał posesora, wkładającego do cygarniczki kilka cygar hawanna. Były to zapewne resztki owych dwóch pudełek, z powodu których biedny gajowy z koronkami w kieszeni musiał iść dziś do żyda-lichwiarza.

— No, gdzież się podział jegomość długobrody? — zawołał gospodarz, usłyszawszy kroki powracającego Henryka.

Henryk odpowiedziawszy, że musiał już pójść w dalszą drogę, usiadł znów na dawnym miejscu przy łóżku chorej.

— Czy nie powiedziano panu w którą stronę się zwrócił? — zapytał gospodarz, jeszcze zajęty cygarami.

— Nie spotkałem nikogo, który by mógł mnie objaśnić — odparł Henryk. Służąca gdzieś się podziała...

— Tak? Musiała zająć się obiadem — rzekł prędko gospodarz i mówiąc to, podał gościowi cygaro, który przecież grzecznie podziękowałszy, odmówił.

Henryk widział, że staruszka ukradkiem otarła znów łzę. Może wiedziała o sprzedaży koronek. Może były one drogą dla niej pamiątką, którą przecież lekkomyślny małżonek puścił z dymem w powietrze. Ta myśl tak bardzo oburzyła go na niepoprawnego marnotrawnika, że za nie w świecie nie byłby dotknął tych cygar.

— Prześlicznie dobrany bukiet — zauważył wskazując na kryształowy kielich. Przejęty szlachetną litością, chciał odwrócić myśl chorej od przykrego dla niej przedmiotu.

— O niewątpliwie! — potwierdził gospodarz. Bo też ułożyły go artystyczne rączki. Synowica moja, która obecnie bawi u nas, ma znakomity talent do malarstwa. Przynosi nam ona wielką pociechę i mogę śmiało powiedzieć, że pieniądze, które wyłożyłem na jej wykształcenie, nie zostały stracone, jakkolwiek znaczne sumy, wyrzuciłem za okno, wspierając mniemane talenta.

— O to prawda! Mój dobry mąż uważał zawsze za swój obowiązek wspierać młodych ludzi, pragnących kształcić się na artystów i bardzo często nadużyto jego wspaniałomyślności — odezwiała się staruszka ze słabym uśmiechem, rzucając przytem na męża spojrzenie, pełne serdecznego, tklivego przywiązania.

— Były to porywy młodości, kochana Zuzanno, może głupstwo nie do darowania, które przecież popełnił bym i dziś jeszcze, gdybym dotąd był... — no, gdybym i teraz obracał się w wielkim strumieniu światowego życia. A było to piękne życie i na Jowiszal przyjmował bym w niem udział i obecnie, gdyby nie zeszytniały nogi, które zawdzięczałam przekleństwom przeciagom w Hirschwinklu! Ale chwala panu Bogu jeszcze to nie ostatni dzień życia i gdy mój poczciwy chłopiec powróci z Kalifornii z milionami...

Zatrzymał się przy nagłym poruszeniu, z jakim chora ukryła twarz głęboko w poduszki. — Ale o czym to chciałem powiedzieć? — odezwał się znów szybko, z zakłopotaniem pocierając ręką po czole. — Ach tak, miałem mówić o moim bracie. Otóż pewnego dnia umarł biedak, pozostawiając mi biedną, małą sierotkę Agnieszkę. W trzydziestym roku swego życia został wdowcem, jedynaczka więc jego nie miała ani ojca, ani matka.

Brat mój był bardzo, bardzo poczciwym człowiekiem, ale nigdy nie miał wielkiego szczęścia, i nie pozostawił po sobie żadnego majątku. Dla tego też jako opiekun nie potrzebowalem kłopotać się wiele z powodu spadku. Wzięliśmy małeństwo do naszego domu, kochaliśmy je oboje z Zuzanną jak własną córkę i dalibóg nie wyszliśmy źle na tem. Gdy moja biedna żona zachorowała ciężko i nie mogła się ruszyć, z łóżka, wtedy dopiero przekonaliśmy się, jaką pociechę Bóg dał nam w poczciwej Agnieszcze. Synowica nasza bez namysłu porzuciła świetne stanowisko, które miała w Frankfurcie i przybyła w samotną pustelnię, aby pielęgnować chorą stryjenkę.

— Agnieszka jest prawdziwym aniołem i w całości poświęca się dla nas starych! — rzekła staruszka ze wzruszeniem i tak szybko, jak by pragnęła przy sposobności wykazać całą zasługę młodej panny. — Na świecie mało jest tak szlachetnych istot. Wzięła na siebie ciężkie jarzmo, które ..

— No, no, serce moje, nie jest to znów tak strasznie źle, jak ci się wydaje — przerwał jej mąż z niejakim niepokojem. Odwrócił się w bok i spojrział ku jednemu z okien, przy którym stał mały stolicek do szycia.

— Hm, niema kapelusza, ani rękawiczek. Musiała pójść zapewne do lasu po kwiaty. Było by mi bardzo przyjemnie, gdybyś ją pan poznał. Przyznaje, że obecnie w naszym domu nie ma tak zbytkowych wygod, jak u generalstwa von Guseck, jednak...

— Synowica państwa przywykła do świetnego życia, zapewne tęskni za niem, zmuszona mieszkać na wsi? — zapytał gość z nieco złośliwym uśmiechem.

— A któż by nie tęsknił! — zawołał ozywając się gospodarz domu. — Generalstwo kochała ją jak własną córkę. Pomyśl pan sobie tylko: miała do swych usług dwie pokojówki, wyłącznie dla siebie, przepyszny powóz, łożę w teatrze, a przytem bale, obiady proszone...

Stary mówiąc, liczył na palcach wszystkie owe przyjemności. — Jest ona bardzo piękna — dodał, ma ułożenie księżnej, maluje przeslicznie, gra na fortepianie jak anioł! O mój Boże, jakąż rozkosz uczuwać na samo wspomnienie tych wszystkich rzeczy! — zawołał starzec, przerywając sobie opowiadanie. — W Gelsungen miałem fortepian, przepyszny instrument, za który zapłaciłem tysiąc talarów. Wielu sławnych wirtuozów grywało na nim u mnie miłemi wieczorkami, teraz stoi w salonie z bogatego piwowara, a pół tuzina młodych piwowarczątek brzdąka na nim po całych dniach. Ha, cóż miałem robić! Byłem zmuszony odstąpić go. Powiedz pan sam, gdzie u licha postawił bym w tej budzie tak wspaniałny instrument? Chciał bym istotnie, żebyś pan choć raz usłyszał ów dźwięk, ową pełnię tonów. Pod rękami mej synowicy sprawiał prawdziwie niesłychane wrażenie. Słuchano ją z niewysłowioną rozkoszą...

— Ale, pan, jak widzę, nie jesteś amatorem muzyki? — zapytał nagle, gdyż szydery wyraz twarzy gościa był nazbyt wyraźny, aby mógł pozostać niepostrzeżonym.

— Tak! — potwierdził Henryk bez ogródki. — Liczba grających na fortepianie kobiet jest dziś — legionem... Na każdej zabawie, w każdym towarzystwie, trzeba koniecznie słuchać i podziwiać, choć nieraz aż bolą uszy. Skoro tylko która z pań zabiera się do grania, natychmiast chwytam kapelusza i wynoszę się z pośpiechem.

Posesor śmiał się wymuszenie, a jego żona odezwiała się bardzo poważnie.

— Wierz mi pan, że gdybyśmy nawet mieli fortepian, nigdy byś nie był zmuszony słuchać natrę-

tnych popisów, gdyż nasza ukochana Agnieszka wcale nie jest próżną, ani żadną pochwałą, a przysięgą nie oddaje się wyłącznie muzyce, nie czyni z niej głównego zadania swego życia...

— Ależ moja droga — przerwał mąż z pośpiechem i z widoczną niecierpliwością — powiedziałem już, że Agnieszka maluje równie znakomicie jak gra na fortepianie.

— Zajmuje się także kuchnią i gospodarstwem — rzekła znów chora. Widać było, jak ciężką stoczyła ze sobą walkę, ażeby dodać te słowa pomimo nietajonej niechęci męża, jednak uczyniła to i to nawet głośniej, z bardzo wyraźnym naciskiem.

— Doprawdy, nie mogę cię pojąć, Zuzanno — przerwał jej wtedy p. posesor, mocno zarumieniony i z pocieszonym wykrzywieniem pocierając chore kolano. — Czy ci tak wiele na tem zależy, abyś Agnieszkę, urodzoną von Franz, córkę wyższego oficera, musiała koniecznie przedstawić z tej strony życia prozaicznej? Gdyby umiała tylko to, to przyznam ci się, że żałowałbym pieniędzy, wydanych na jej edukację... A propos, panie kochany — kończył stary, zmieniając z zamiarem przedmiot rozmowy — jak długo zamierzasz zabawić jeszcze w Hirschwinklu?

— Tylko dni kilka.

Zdawało się, jakoby te słowa uspokoiły starca, gdyż odechnął z widoczną ulgą. Pomimo tego zmarszczył brwi i rzekł z nietajoną niechęcią:

— Tylko kilka dni? Hm, a więc zapewne nie będziemy mieć przyjemności widzenia pana u nas; a ponieważ moje nogi nie pozwalają mi odwzajemnić łaskawych odwiedzin pana, jestem zatem zmuszony korzystać z dzisiejszej sposobności i poprosić o ustną odpowiedź na mój list. Krótko mówiąc zechciej pan objaśnić, jak stoi sprawa kolei żelaznej? Przekonałeś się pan naocznie, w jak strasznym upadku znajdują się folwarczne zabudowania. Wszelkie łatania nic już nie pomogą. Stara buda, w której mieszkamy, trzeszczy przy każdym silniejszym powiewie wiatru, nie ulega więc żadnej wątpliwości, że pierwszy przebiegający pociąg zamieni ją w kupę grózków. To tak pewne, jak dwa a dwa, są cztery.

— W takim razie najwłaściwszą będzie rzeczą, nie czekać na to, lecz zaraz rozebrać dom.

— Mój panie! — zawołał posesor z uniesieniem. Zdawało się, jak gdyby chciał rzucić się na swego gościa i pochwycić go za gardło, podczas gdy biedna chora wydałszy okrzyk przerażenia, wyciągnęła błagającą rękę. — Mój panie, to znaczy innemi słowy, że chcesz mnie wyrzucić z domu!

Henryk ujął łagodnie dotąd podniesioną rękę staruszki.

— Szanowna pani, dla czego się tak bardzo przeraża? — odezwał się z serdeczną uprzejmością. — Czy ten dom, w istocie bliski upadku, stał się dla pani tak drogi, że nie możesz opuścić go i chwilowo zamieszkać gdzie indziej? Mam również wystawić nowy tartak i to zaraz, bez żadnej zwłoki, zatem jednocześnie każe przebudować i dworek na folwarku, który notabene da się łatwiej i prędzej wykończyć, niż tartak na wodzie. Przynajmniej o kilkadziesiąt kroków od przykrego sąsiedztwa szyn kolejowych. Przeniesiemy gumna w stronę północną, a podwórce po za budynki i całe obejście otoczmy wokoło wysokim murem.

— W skutek tych wszystkich zmian będziemy musieli wykarczować znaczną część lasu... Ma się rozumieć, że przez ciąg trwania budowy, dam państwu inne, przyzwoite mieszkanie i dla tego proszę, abyście zechcieli się przenieść do dworu. Ustępuję państwu połowę pierwszego piętra, sądząc, że pomieszkaniem zmarłej przyjaciółki, będzie miłym pani i wystarczającym na czasowy pobyt.

A spodziewam się na pewno, że do początku przyszłego Maja nowy dworek będzie wykończonym i wtedy będziecie mogli państwo powrócić na folwark. Czy zgadzasz się pani na to?

Gorzko płacząc, niezdolna przemówić ani jednego słowa, biedna staruszka usiłowała przyciągnąć do swych ust jego dłoń, która dotąd obejmowała lewą jej rękę. Henryk mocno wzruszony i zmieszany, usunął ją z pośpiechem.

— Och nie, nie! — zawołał rumieniąc się. — Nie masz pani powodu do podziękowań. To co czynię, zechciej łaskawie przyjąć jako ostatnie rozporządzenie szlachetnej zmarłej, przesłane z po za grobu.

Zdawało się, że i posesor oniemiał z zadziwienia, że i on również chciał podziękować młodemu dziedzicowi serdecznym uściskiem dłoni, ale przy ostatnich słowach podniósł głowę i zaczął słuchać z zajęciem. Cofnął wyciągniętą już rękę i nawet nie bardzo bystry znawca serc ludzkich, mógł wyczytać w jego skorym uśmiechu, że nagle błysnęło tam światło, przysłała mu ta myśl nowa iż musi się coś ukrywać po za tą niepojętą wspaniałomyślnością. Należał on do tych zarozumiałych, niezachwianie wierzących w siebie istot, które nigdy nie chcą przyznać, aby mogli stracić władzę i znaczenie, które w każdym położeniu natychmiast przybierają znów rozkazującą postawę, skoro tylko uczyni im kto, choć by najłżejsze ustępstwo. Tacy nawet politowanie ludzi biorą za uznanie należnych im praw i zawsze gotowi są do ich dochodzenia.

— Ach, tak, nasza droga przyjaciółka — odezwał się z chłodnym spokojem i z pańską, pełną świadomości swych zasług postawą — umiała dobrze ocenić, czem byliśmy dla niej przez długie lata. Choć z oddalenia dzieliliśmy z nią wiernie wszystkie zmiany jej dobrych i złych losach, a w końcu chętnie podzieliliśmy z nią smutną samotność Hirschwinklu... Bywało, że nawet podczas najprzykrzejszej niepogody, spieszyłem do dworu, aby zagrać z nią partycję szachów i skrócić biednej nudy długich wieczorów zimowych. A trzeba wiedzieć panu, że wcale nie lubię gry w szachy, i nawet dodam: bardzo nie lubię. Ale podobne ofiary czyni się z całego serca i chętnie, szczególnie też dla tak szlachetnej kobiety jak nasza poczciwa nieboszczka nadleśniczowa, która umiała ocenić pełną poświęceń przyjaźń.

— Uczyniła ona dla nas daleko więcej, niż całe tłumy tak zwanych przyjaciół, którzy niegdyś cisnęli się na nasze wieczory i obiady prozono.

— Tylko nie rozżalaj się, kochanku! Na naszych dawnych przyjaciół nie pozwolę nie złego mówić. Ale masz słusność. — Klotylda była z całego serca wdzięczną i bez żadnej wątpliwości była by uczyniła dla nas daleko więcej, gdybyśmy nie odmawiali zawsze przez uczucie delikatności.

Wzruszył ramionami i machnął ręką niedbale, jak gdyby dla okazania, że nie chciał powiedzieć wszystkiego.

— No, niema o czem mówić! Postąpiliśmy tak, jak przysłało na ucziwych ludzi. Potem śmierć zaskoczyła nagle, niespodzianie, gdy biedna kobieta wcale nie była przygotowana. Gdyby nie to, wiele rzeczy wyglądało by dziś inaczej, o dani pan całkiem inaczej!

Henryk odwrócił się z niechęcią od zarozumiałego gaduły, który prawie nie obwijając rzeczy w bawelnę, powiedział mu wprost, że właściwie on byłby dziś właścicielem Hirschwinklu, gdyby nagła śmierć dawnej dziedziczki nie zniszczyła była słusznych praw, opartych na tak licznych z jego strony ofiarach. Ostra odpowiedź cisnęła się już młodzieńcowi na usta, ale spojrzenie na chorą, której wzrok był pełny niepokoju, przemogło słuszne oburzenie — przeciężył się więc i odpowiedział z chłodnym spokojem:

— O ile wiem od adwokata, który lat wiele był tu doradcą prawnym, wujenka moja uważała się

zawsze tylko za czasową zarządczynią majątku pozostałego po mężu. Dla tego też — jak mi ten ucziwy prawnik zapewnił — nie uczyniła żadnego rozporządzenia co do dóbr Hirschwinkl.

— Tak, tak — odpowiedział p. posesor, zmieszany spokojnym tonem Henryka — może masz pan słusność. Nawet przypominam sobie, że właśnie coś podobnego słyszałem sam z jej ust. To też z przyjemnością i jak największym uznaniem widzę, że jednak pan bierzesz pod uwagę długoletnie a serdeczne stosunki, które istniały pomiędzy nieboszczką i nami. Z podziękowaniem więc przyjmuję łaskawą propozycję pana co do chwilowego przeniesienia się do dworu i tylko chciałbym zapytać jeszcze, co się tymczasem stanie z moim inwentarzem?

Trudną było rzeczą zachować się poważnie w obec tak śmiesznej błagi starego fanfaronu.

Henryk prawie się zawstydził za niego, ale postanowił pokazać, że mu kłamstwa te nie imponują i rzekł — zapinając przecież guziczek u rękawiczki. — A tak, trzeba pomysleć o inwentarzu, przechodząc obok obory, widziałem stojącą tam krowę...

— Chwilowo nie mamy tu więcej krów, kochany panie Markus — odparł stary z powagą. Niedawno właśnie byłem zmuszony wydać pod nóż rzeźniczy kilka przepysznych szwajcarskich krów, które naraz uległy jakiejś nagłej chorobie. O, ciężka to klęska dla gospodarstwa, gdy trafi się coś podobnego. Bywa to głównie z niedozoru, ale cóż robić. — Że nie wszystko jest tu dziś jak należy, o tem nikt nie wie lepiej odemnie samego, ale na nieszczęście brakuje mi porządnym ludzi, parobka szczególnie. Pisałem na wszystkie strony świata, bo tutejszych gapiów nie chcę za żadne pieniądze, wszystko dyabła warto! Ofiarowałem ogromne zasługi, ale paniczom nie podoba się tutejsza okolica, wydaje się im tu za cicho, za ustronnie i brak służby należy też do klęsk, trapiących mnie.

— Pozwól mi pan spróbować, może będę szczęśliwszym — odrzekł nowy dziedzic. — Umieścimy krowę w dworskiej oborze, drób da się łatwo przenieść, a po przebudowaniu, musi wszystko być w należytych porządku, to znaczy: znajdzie się odpowiednia liczba bydła w oborach i dostateczna siła robocza dla obrobienia roli. Postaram się sam o to, tymczasem zaś muszę co najrychlej sprowadzić panu dobrego parobka, ze względu na nadchodzące żniwa. Naturalnie — guziczek od rękawiczki na żaden sposób nie dawał się zapiąć i Henryk był nim wciąż zajęty — naturalnie potrzeba również i dziewczki, ale prawdziwej, to jest mocnej, silnej wiochny, która by wzięła się dzielnie do roboty. Sługa państwa, które obecnie zajmuje się gospodarstwem, nie zdaje się odpowiednią do tego obowiązku.

Chora zasłoniła oczy chudą, przezroczyłą prawie ręką, jak gdyby doświadczyła nagłego zesłabnięcia, a posesor dostał tak silnego ataku kaszlu, że aż cała twarz posiniała mu z wyteżenia.

Ale Henryk widocznie się uwziął na to, aby koniecznie dowiedzieć się bliższych szczegółów o dziewczynie, gdyż dodał:

— Jak słyszałem ma ona pochodzić z miasta, a przynajmniej w ostatnich czasach służyła podobno w wielkim mieście? — badał dalej uporczywie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Gdy się obudził, słońce było już wysoko na widnokregu. Przy swem łóżku ujrzał Reginalda w paradnym mundurze. Na twarzy jego i w całej postawie nie można było dojrzeć śladów znużenia i wzruszeń poprzedzających dni. Tak samo wyglądał by młody pólkownik w chwili parad odbywanych w Dublinie.

— Wicehrabio — rzekł — generał Lake donosząc że maszeruje na buntowników, rozkazał mi, abym połączył się z nim z moimi żołnierzami. Wyruszymy zaraz, a chciał bym jeszcze pożegnać się z księżną Leinster w towarzystwie pana.

Wkrótce potem obaj udali się ku dworowi. Przez delikatność sir Reginald nie był tam wczoraj, a Tankred sądził, że dla zachowania pozorów i on również powinien trzymać się zdala.

Księżna przecież ujrawszy ich, żaliła się na to, czyniąc przecież szczególne wyrzuty Tankredowi.

— Oczekiwaliśmy panów z niecierpliwością, a twój pokój, panie wicehrabio, jest już oddawna gotów.

Uklonił się, spoglądając ukradkiem na towarzysza.

— Mając wyjechać — odezwał się tenże — oddałem moje mieszkanie do rozporządzenia pana wicehrabiego.

— O, nie! — nalegała matka Fitz-Geralda. — Koniecznie byśmy chciały zatrzymać go przy sobie. Powstanie niepokoi mnie mocno i to z wielu powodów. Gdy Edward odzyska siły, kto wie, czy nagle nie zechce powrócić tam, gdzie sądzić będzie, że być jest jego obowiązkiem. I tylko jeden wicehrabia może skutecznie wpłynąć na niego...

Księżna, jak wiemy, nie mogła czuć i myśleć inaczej. Była przytem matką i ten jej syn odzyskany cudownie, czyż już nie spłacił długu swego Irlandyi? Raz już umarł za nią, niech że więc teraz żyje dla rodziny.

Obecność Tankreda była przytem rzeczywiście potrzebną we dworze Kildare: wszystka służba męzka uszła do powstania i prócz murzyna były tam jedynie kobiety. W chwili, gdy Tankred wahał się z odpowiedzią, widząc silne, choć ukrywane wzruszenie Reginalda, weszła Łucya.

Cała jej osoba promieniała tak dziewczęcą czystością, że Reginald zawstydził się dręczącej go zazdrości. — Wicehrabio — odezwał się z przymuszonym uśmiechem — na mocy mojej władzy czynię pana komendantem dworu w Kildare.

— Na przedstawienie księżnej pani — dodał Gaillefontaine, nie bez mimowolnej ironii.

Pólkownik zdawał się nie spostrzegać jej i zwróciwszy się do tej, która bądź co bądź była już jego żoną, rzekł: — Wyjeżdżam na czas jakiś, bądź zdrowa pani.

W ostatnich jego słowach przebijało tyle smutku i tklivosti, że Łucya uczuła żywe wzruszenie.

— Niech Bóg opiekuje się tobą sir Reginaldzie, niech jak najspieszniej da ci powrócić... — odpowiedziała, podając mu rękę. — Edward wie już, że jesteś jego bratem i pragnie cię widzieć. Pójdź, pólkownik!

Potem zwracając się do Tankreda, rzekła:

— I ty także, panie komendancie. Czyż nie powinniśmy odkryć panu wszystkich tajemnic fortecy, powierzonej twej opiece?

Poprowadziła ich do oratoryum, wyłożonego pięknie rzeźbionem drzewem dębowym. Światłość dzienna przenikała tu tylko w połowie. Jedna ze ścian, poruszana niewidzialną sprężyną, odsłaniała pierwsze stopnie wąskich schodków, wyrobionych w głębi grubego muru. Tędy dostawano się do tajemniczej kryjówki, która przez wiele pokoleń dawała schronienie prześladowanym.

Była to dość obszerna komnata, zaopatrzona we wszystkie możebne wygody dla osłodzenia przymusowego w niej pobytu. Niezwykłej grubości obicia tłumiły wszelki odgłos. Oświecało ją jedno tylko okienko, ukryte z zewnątrz przez architektoniczną ornamentację.

Zmartwychwstały leżał na łóżku, bardzo jeszcze blade i wycieńczony, lecz najzupełniej przytomny.

Pamela siedziała tuż obok, a niedaleko od niej bawiły się dzieci, siedzące w obszernym fotelu.

Niewinny ich wdzięk, piękność matki, radość błyszcząca w oczach wszystkich, dodawały szczególnego uroku temu obrazowi.

— To twoje dzieło! — szepnął Fitz - Gerald do Tankreda zaledwie dosłyszonym głosem. — Dziękuję ci...

— Jest jeszcze bardzo osłabiony, lecz teraz już nie wątpimy, że będzie wkrótce zdrow i mocny — rzekła Pamela. Wczoraj natychmiast po naszym przybyciu, Kornelia pobiegła do doktora w Kildare i sama wręczyła mu list zacnego Słowiusa Jumble. Doktor ręczy że wszystko będzie dobrze.

Rozmowa toczyła się dalej, lecz z jak największą ostrożnością, aby Edward nie dowiedział się nic o wybuchem powstaniu.

— Powracam do Dublinu, aby zająć się tam przygotowaniami do twej ucieczki — zakończył sir Reginald.

— Ja zaś pozostanę — dodał Tankred — i będę tu oczekiwał chwili, w której oba razem będziemy mogli udać się w podróż.

W godzinę później dragoni siadali już na koń. — Powierzam pańskiej opiece lady Cornwallis — mówił pólkownik do wicehrabiego, podając mu na pożegnanie rękę, która drżała.

— Odpowiadam za jej bezpieczeństwo mym honorem — odrzekł Gaillefontaine — a zresztą spodziewam się, że rozłączamy się zaledwie na dni kilka. Do rychłego więc zobaczenia, pólkownik!

Tankred pomylił się w ocenieniu rozwijających się wypadków, które z resztą trudno było przewidzieć.

XXXIII.

Buletyny z pola wojny.

Uplęnęło piętnaście dni. Dotąd nie zaszło nie stanowczego; we dworze Kildarskim używano zupełnego spokoju, z żadnej strony nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo.

Powstańcy nie zajęli miasteczka Kildare, owszem teatr wojny oddalił się i przeniósł w inną stronę.

Ani jeden gość, ani jeden natręt nie przekroczył bramy, z czujnością strzeżonej przez wiernego Tony.

— Panie nie przyjmują nikogo — odpowiadał niezmiennie, a słowa jego wydawały się wszystkim tak naturalnymi, że nikt nie ośmielił się nalegać.

Dwie służące zupełnie wystarczały na potrzeby domu. Jedna — była to dawna mamka Edwarda, druga, Francuzka, przybyła do Irlandyi wraz z Pamelą. Na ich przywiązanie, wierność i milczenie można się było spuścić najzupełniej.

Ufano w ten sam sposób Patowi, którego w tajemniczo we wszystko i powierzono mu zewnętrzne stosunki.

Wicehrabia polecił mu trzymać język na wodzy, a przeciwnie szeroko otwierać oczy i uszy, wyciągając ludzi na słowo.

W skutek tego zaopatrywał dwór w żywność i nowiny.

Pierwsze, przyniesione przezeń wiadomości były korzystne dla powstania.

— Och, och! Pobiliśmy Anglików na kwaśne jabłko-opowiadał wesoło. — Zabraliśmy armaty! Więcej niż pięćdziesiąt tysięcy powstańców walczą mężnie w szeregach narodowych!

I w istocie była to prawda. Tankred otrzymał potwierdzenie tych wiadomości już to od naczelnika miasteczka, Mac-Fergusa, już to od okolicznych mieszkańców, których wypytywał podczas konnych wycieczek, odbywanych codziennie rano.

Widocznie całe południe Irlandyi powstało i Anglia znajdowała się w rzeczywistości i wielkim niebezpieczeństwie wojny zaciętej i nie łatwo dającej się przytłumić.

Jednak powodzenie to nie długo trwało. Generałowi Lake udało się ściągnąć znaczne siły, które ze wszystkich stron zmierzały dla otoczenia powstańców. Zniesiono wiele ich oddziałów. Pat powracał teraz ze smutnie spuszczoną głową; bolesna trwoga wkradła mu się w serce, zaczął powątpiewać o zwycięztwie świętej sprawy, jak się wyrażał namiętnie.

Zresztą zmianę położenia znać było wyraźnie w postawach stronników rządu, w pewności nieco fanfaronskiej oficerów, bardzo często przejeżdżających przez Kildare.

Pewnego razu wszedł do miasta cały korpus armii, dowodzony przez generała Dundas. Po kilku wygranych bitwach, zwycięzca ten łagodny i wyrozumiały ogłosił amnestyę dla wszystkich tych, którzy złożą broń. Przeszło dwa tysiące powstańców poddało się w okolicy, wraz z wożami, na których zawczasu złożyli swe strzelby i piki. Lud ten gorący w walce, łatwo upadał na duchu w chwili niepowodzenia i teraz oto tłumy rozbitków, rozpacznie już zwątpiających, z najwyższą radością witały rodziny i myśl powrotu do domów przenikała ich szaleńcem szczęściem do tego stopnia, że z wałów miejskich widziano ich tańczących i ściskających się wzajemnie wśród okrzyków powitania.

Tankred z Łucyą przyglądali się tej scenie, stojąc na tarasie Kildarskiego dworu.

— Ach mój Boże! — szepnęła biedna — gdybyśmy to i my mogli powiedzieć tak, jak ci biedacy: — Wszystko złe już skończone, minęły niebezpieczeństwa, obawy!

Nagle na curragh, gdzie zgromadzeni byli powstańcy, rozległy się krzyki bólesci i przerażenia. Oddział srogich oranżystów; pułk „Fencibles“ co by można przetłumaczyć jedynie przez milicję z szapów i wrzowowiski: „Fens“, horda zwana pospolicie strzelcami lisów sir Jocelyna, rzuciła się zdradziecko na ten tłum bezbronny i mordując bez litości, rozprasała ich we wszystkie strony. Gdyby nie las, w którym schronili się ci, których jeszcze nie dosięgły razy pałasza, gdyby nie nadejście nocy i nie energiczne wmięszanie się generała Dundas, ani jeden nieszczęśliwy nie uszedłby okrutnej rzezi. Lecz i tak mnóstwo trupów zaległo zielone błonia.

Skoro tylko Tankred mógł zrozumieć co się dzieje na curragh, odprowadził z pośpiechem Łucyę do pokoju, nie tylko aby oszczędzić jej wstrętnego widowiska, ale nadto z obawy, aby krzyki podstępnie mordowanych, nie doleciały do uszu Fitz-Geralda.

W istocie Edward stał na środku pokoju z iskrzącymi oczyma, z wzniesioną do góry głową, jak koń bojowy, który strzyże uszami na odgłos oddalonej walki.

— Nic to, nic — odezwał się wicehrabia, uspakajająco. — Na curragh odbywają się próby wyścigów konnych.

Edward poprzestał na tem wyjaśnieniu. Nie wiedział on o niczem, nie podejrzewał więc nic.

A za ledwie zaczął przechadzać się po pokoju i jeszcze nigdy nie ważył się wyjrzeć na otwarty świat Boży, później dopiero pozwolono mu opuszczać na krótki czas jego przymusowe więzienie:

Nadeszły pierwsze dnie Lipca. Nigdy lato nie było piękniejsze pod mglistym klimatem zielonego Erinu. Każdego wieczoru, gdy zciemniło się zupełnie, powracający do życia zstępował do ogrodu.

Lucya lub Pamela podtrzymywały dotąd jeszcze chwiejące się kroki. Siadano na tarasie, z którego odkrywał się rozległy na wszystkie strony widok. W cieniu pogodnej, letniej nocy cudownie pięknym wydawał się krajobraz. Jeżeli światło księżyca połyskiwało zbyt żywo, sir Edward siadywał wówczas na ławeczce wśród gęstego szpaleru grabiny, gdzie pozostawał niewidzialnym dla wszystkich oczu. Otaczano go w około, rozmawiając o przyszłości.

Reginald wkrótce powróci z listem bezpieczeństwa. Tankred wówczas pojedzie dla przekonania się, czy droga jest bezpieczną i czy okręt stoi w przystani. Następnie gdy już wszystko zostanie przygotowane, Edward będzie miał dość sił, aby udać się w podróż na wygnanie. Niestety! wygnanie wieczne, lecz zarazem było ono ocaleciem, wolnością!

Później połączy się z nim Pamela z dziećmi. Co do matki i siostry, te utracą go już na zawsze.

Bolesna ta myśl zakrwawiała wszystkie serca w ostatnich dniach, spędzonych razem. W miarę przybliżania się smutnej chwili rozłączenia, na czoło Lucyi występowała coraz ciemniejsza chmura.

— Och, panie wicehrabio — rzekła jednego dnia — po matce, Edward był dla mnie najdroższą na świecie istotą, a dzieci jego kocham tak, jak gdyby były moimi, drogie, kochane pieścoty! Serce mi się ścisza na samą myśl, że wkrótce niezmierny ocean rozdzielać ich będzie odemnie. Nigdy już, nigdy nie ujrzę ani ich, ani ich biednego ojca... Sama jedna! Och tak, to moje przeznaczenie!

— A czy nie masz serca oddanego ci na wieki? — szepnął smutno Gaillefontaine. — Jesteś już małżonką sir Reginalda, otoczy cię nowa rodzina i z czasem pocieszysz po stracie dawnej.

Przez chwilę Lucya pozostała milczącą, poczem, jakby budząc się ze snu odezwała się:

— Och, mów mi pan raczej o tym nowym świecie, dokąd masz ich zawieść.

Był to ulubiony przedmiot ich rozmów. Tankred kochał Amerykę i z poetycznym zapalem opisywał owe dziewicze krainy, które szczególnie wtedy miały urok rzeczy nieznanych. Posiadał on nad brzegiem pięknego jeziora rozległe i żyzne ziemie, na których pragnął założyć kolonię. — Czyż i ja nie jestem również wygnańcem? — mawiał zwykle z odzieniem smutku.

Marząc tak dalej na jawie, dodał:

— W starej Europie niezgody i ciągle wojny... Prześladowania, ciemnoty, nawet w imię wolności. Uważam się za dobrego Francuza, a przecież Francya jest zamkniętą dla mnie! Fitz-Gerald pragnął jedynie rzeczy słusznej i niewątpliwie szlachetnej, i oto musi uciekać z Irlandyi. Stworzymy sobie nową ojczyznę w owej gościnnej Ameryce, gdzie przyroda wspaniale piękna i młoda jeszcze, jak raj, gdy wyszedł z rąk Boga, otwiera rozległe widnokręgi nowej przyszłości dla wszystkich zboliałych i zropaczonych ludzi ze starożytności. Tam nie ma żadnych granic, żadnych przesądów. Niezawisłość najzupełniejsza, wolność równa dla wszystkich! Tą posiadłością, która mi się dostała po krewnym, podzielię się z Edwardem. Do nas dwóch należeć będą moje piękne sawany, moje dziewicze lasy! Jesteśmy bogatymi... zawezwiemy wszystkich wygnańców nieszczęśliwej Irlandyi i Francyi. Nowa rasa zawdzięczać nam będzie swą pomysłowość i szczęśliwy rozwój. Na naszych rozległych, świeżo wy-

karczowanych nowiznach, gdzie każdy dostanie obszerny dział gruntów — nie będzie nieszczęśliwych. Będą nas wszyscy kochać i błogosławić, gdyż nie skrzywdzimy nikogo i otoczymy wszystkich dobrobytem i sprawiedliwością. Żałuj więc pani, że tracisz dla twego serca brata, lecz nie ubolewaj nad jego losem. Gdy połączy się z żoną i dziećmi, wówczas życie jego stanie się podobnym do życia owych naczelników pokoleń, o których mówi pismo święte. To tam właśnie, w tej ziemi obiecanej, Bóg zachował dla takich jak on ludzi, święte roskosze czystej miłości i rodzinnego szczęścia!

Lucya patrzyła w Tankreda wśród tych poetycznych uniesień, a gdy przestał już nawet mówić, ona wzruszona i rozmarzona słuchała go jeszcze.

On codziennie przebywając obok niej znajdował też co dzień nowy wdzięk, nowy powab w jej delikatnie pięknej i szlachetnej istocie.

Słodkie te stosunki, niby brata z siostrą, nie budziły w nim niepokoju z początku. Czyż nie miał ufać sobie samemu i czystej niewinności Lucyi, która gardziła wszelką kokieterią, jak rzeczą niegodną wyższej, czystej kobiety.

Jednakże niebezpieczne położenie przedłużało się i wreszcie nadeszła chwila, w której wicehrabia prawie przeraził się, czując zbyt żywe uderzenie serca. Zaczął unikać poufnych rozmów z Lucyą: miał odwagę uciekać przed nią.

Ją to zadziwiło, może nawet uczuła niejaki smutek, gdy nagle stał się znów serdeczniejszym niż dawniej nawet i zaczął poszukiwać jej towarzystwa z widoczną usilnością. Czyż zesłabł, gdy mówił do siebie, że chwila wiecznej rozłąki i tak wkrótce nastąpić mającej, daje mu prawo zakonstowania choć trochę słodyczy szczęścia, które było dlań rajem utraconym. — Już tylko pozostaje mi kilka dni, w których ją mogę widzieć, mogę ją jeszcze słyszeć — powtarzał sobie z goryczą. Może jutro już będę musiał wyrzec się jej na zawsze, korzystaj więc, biedny szaleńcze, z dnia dzisiejszego i bądź szczęśliwy!

I choć już kobiety powróciły do pokojów, on długo, długo jeszcze błądził po ogrodzie, zachwycony roskosznymi wzruszeniami, nieznanymi mu aż dotąd, poszukując miejsca, w których Lucya siedziała przed chwilą, odtwarzając w myśli jej postać, jej słowa i spojrzenia. Niekiedy wznosił oczy ku jej oknu, mówiąc sobie w duszy:

— Nigdy ona nie dowie się o tem, że kocham ją miłością najwyższą! Kocham nad życie!

Tankred sądził, że dobrze zna kobiety. Czyż więc nie wiedział o tem, że najmłodsze, najmniej doświadczone, instynktem umieją odgadnąć uczucia, które wzbudzają? W uśmiechu, czasami smutnym, który Lucya zwracała ku niemu, w oczach jej tak jasnych i czystych, przebijało teraz może coś więcej, niż prosta życzliwość przyjaźni.

O, był już czas, czas największy, aby sir Reginald powrócił!

Wreszcie wicehrabia otrzymał od niego wiadomości.

Doszło go naraz wiele listów, bezwątpienia opóźnionych przez wypadki wojny. Streszczały one dzieje powstania i to prawie dzień po dniu — był to cały szereg buletynów. Wyjmujemy z nich jedynie te ustępy, które mają niejaki związek z osobami, występującymi w naszej opowieści:

— Kilcullen. 29. Maja. Wreszcie przedarliśmy się przez obronną linię powstańców, lecz dokonaliśmy tego dopiero po krwawej walce. Zagrządzali nam drogę. Nie mieli innej broni prócz pik, z bardzo niewielkim wyjątkiem, a przecież stawili moim dragonom zażarty opór. Bitwa była niesłychanie zacięta. Istotnie powiedziałeś pan prawdę, lud Irlandzki może się stać tem, czem byli wasi Wandejczycy“.

— Carlow 7. Czerwca. Połączyłem się z generałem Lake i zaczynamy odzyskiwać przewagę. Cóż to za straszliwa wojna! Być może, że powstańcy podczas swych pierwszych powodzeń dali przykład nadużyć, lecz nasładowujemy ich okrutnie! Okolice, przez które przechodzimy, przedstawiają straszny widok: wszędzie ruiny i pustynie, wioski spalone, zasiewy zniszczone, mieszkańcy bez schronienia i sposobu utrzymania życia. Nasi żołnierze cofając się spalili i spustoszyli wszystko. Tłumy nieszczęśliwych z samej rozpacz przyłączyły się do powstania. Mszczą się bez miłosierdzia. Obie strony popełniły mnóstwo zbrodni i jak to zwykle bywa w wojnie tego rodzaju, najokrutniejszymi okazali się nie waleczący, lecz zbiegi i marudery!“

— Wexford. 18. Jeszcze dwie porażki wojsk królewskich! Przez jedną straciliśmy Enniscorthy, małą, biedną miasteczkę, zupełnie spaloną podczas bitwy. Ileż ofiar! Druga zajmować cię będzie żywiej, kochany wicehrabio, gdyż jeden z twych przyjaciół, młody obrońca lorda Edwarda, odegrał w niej jedną z najgłówniejszych ról.

O' Connel powracał spokojnie do swego ojca, zamieszkałego w hrabstwie Kerry, gdy nagle został pochwycony przez czarnych ułanów i zaprowadzony przed ich dowódcę. Baron Homspach poznawszy adwokata, który go tak dotkliwie napiętnował w obec trybunału, uznaje go za jednego z najmniejbezpiecznych buntowników. Nadaremnie nieszczęśliwy protestuje. Znieważają go, biją, krepują i z postronkiem na szyi włoką przy koniach w dalszy pochód.

Wielu innych więźniów znajdowało się w takim samym położeniu. Na szczęście dla tych biedaków jeden z oddziałów irlandzkich napadł niespodzianie czarnych ułanów. Zarozumiały ich półkownik komenderuje do ataku, lecz wkrótce spostrzeżąc, że popadł w zasadzkę. Tyrallierów ma na skrzydłach, dalej droga zawałona ogromnymi kłodami drzewa. Każę trąbić do odwrotu. Lecz którądy uciekać? Nowi przeciwnicy ukazują się z tyłu. Są to więźniowie, których pilnował słaby bardzo oddział. Przypomnij pan sobie olbrzymią postawę O' Connella. Gniew, oburzenie podwoiły jego siły. Rozrywa krepujące go więzy, chwytając pałasz jednego z ułanów, rąbie go, rzuca się na kilku innych i uwalnia towarzyszy. Uzbrojeni na prędce, napadają z tyłu na Niemców i dopomagają do zupełnego ich rozbitcia. Jeden z ich oficerów, od którego dowiedziałem się o tych szczegółach, zapewnił mnie, że młody mówca jest tak samo dzielny w bitwie, jak na ławie adwokatów. Boleję nad tem, że w ten sposób wziął udział w powstaniu. Lecz niestety, kto temu winien? Według mego zdania, nie on!

— Kilkenny 1. Lipca. Gdyby Francuzi wylądowali, bez żadnej wątpliwości stracilibyśmy na zawsze Irlandyę. Jedna chwila zdolna zgromadzić czterdzieści tysięcy powstańców, z których przynajmniej czwarta część uzbrojoną była w strzelby, inni w piki, lecz w ich rękach jest to straszliwa broń. Nieraz przychodziło mi na myśl, co słyszałem od pana o Wandejczykach. Zawziętość ich, śmiałość, fantastyczne nazwy wojenne, znalazły się również u Irlandczyków. Zdziaływająca to rzecz, jak dzielnymi żołnierzami może się stać lud wiejski! Zabrali nam dwadzieścia armat i zaimprovizowani z pośród nich artylerzyści obrócili je przeciwko wojsku.

(Dalszy ciąg nastąpi)